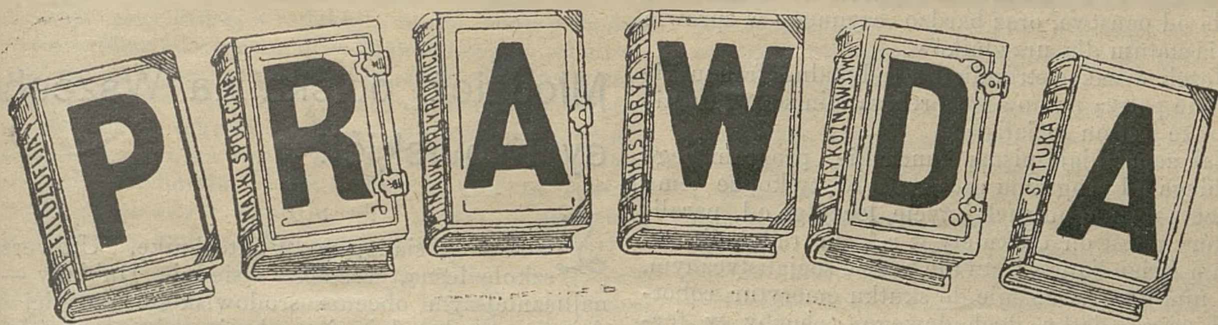
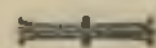
Nr. 31 (1490). Warszawa, 31 Lipca 1909 r. **Rok XXIX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.



Clémenceau i Briand.

Pogromca licznych ministerjów, wódz radykalizmu, który po Waldeck-Rousseau najdłużej ze wszystkich premjerów trzeciej rzeczypospolitej utrzymać potrafił w swych rękach władzę rządową we Francji, Jerzy Clémenceau—upadł.

Wypadek był, zdaje się, niespodzianką dla wszystkich. Tak sądzićby należało na podstawie okoliczności, które towarzyszyły upadkowi ministerjum Clémenceau. Rozprawy nad ankietą komisji parlamentarnej w sprawie marynarki, pomimo to, że prezesem komisji był Delcassé, chociaż obiecywały nie małą sensację, nie zdawały się zapowiadać tego, co się stało. Jak piszą gazety francuskie, o godzinie wpół do ósmej nikt nie przypuszczał, ani w izbie, ani poza nią, że o godzinie ósmej Clémenceau weźmie swój portfel i opuści ławę ministerjalną ze wszystkimi swymi kolegami, i z krótkim: *je m'en vais.*

A jednak tak się stało, a to dzięki może porywczości b. prezesa. W odpowiedzi na ataki Delcassé'go, rzucił Clémenceau wyrazy,które wywołały straszną burzę w izbie, a których nie mogła mu ona wybaczyć. B. prezes zbyt silnie dotknął ją w ambicji, a może tylko — w próżności narodowej.

— Polityka pańska doprowadziła nas do największego poniżenia, jakie zniosła kiedykolwiek Francja, do Algesiras, powiedział Delcassé'mu.

Osłupienie, a potym ogłuszające krzyki były odpowiedzią na te wyrazy. Nietrudne więc miał już zadanie Delcassé, — Clémenceau bowiem sam usposobił izbę na swą niekorzyść. Mowa jego przeciwnika i oskarżyciela, przerywana głośnymi oklaskami, dała wreszcie wiadomy wynik. Izba większością 36 głosów (212 przeciwko 176) wyraziła rządowi votum nieufności.

Nietylko ta okoliczność wszakże zdecydowała o upadku Clémenceau. Były i zupełnie przypadkowe. Skład izby w chwili rozpraw nad ankietą komisji w sprawie marynarki był dlań wyjątkowo nieprzychylny. Na 591 deputowanych, na posiedzeniu było obecnych zaledwie 388, przeważnie przeciwników jego, z prawicy i ze skrajnej lewicy. Radykaliści i radykaliści-socjaliści byli w znacznej liczbie na wycieczce w Kopenhadze. A do tego dodać trzeba jeszcze nowe prawo, z poprzedniego miesiąca, które wprowadziło t. zw. listy obecności i zakaz głosowania przez substytucję za deputowanych, którzy na dane posiedzenie do tej listy własnoręcznie się nie zapisali. Bardzo prawdopodobne, że gdyby to nie były wakacje, kiedy wielu zwolenników Clémenceau opuściło Paryż, lub, gdyby obecni mogli byli głosować za nieobecnych, rezultat głosowania wypadłby zgoła inaczej.

Przypadkowe więc, na pozór, okoliczności sprowadziły upadek ministerjum a właściwie prezesa ministrów, Clémenceau. Nie mamy żadnej podstawy do przypuszczenia, ażeby jakieś sprawy utajone, jakieś głębsze istniały ku temu powody.

Jeżeliby tak było, to w każdym razie szukaćby ich należało w polityce zagranicznej, ale czy odnieść je należy do wzmacniającej się sprawy marokańskiej, czy do zmian w układzie porozumień europejskich, przesądzać nie można.

Pewnym jest natomiast, że stosunki wewnętrzne i kierunek polityki społecznej Clémenceau nie ulegnie żadnej zmianie.

Takie zapewnienie dał on sam korespondentowi *Matin'a*, a to samo potwierdził i nowy prezes ministrów, Arystydes Briand.

Pierwszy prezes ministrów, który uchodzi i sam się uważa za socjalistę! Jak donosi *Echo de Paris*, wyraził on gotowość zapewnienia wszelkich możliwych gwarancji radykałom co do utrzymania dotychczasowego kierunku polityki wewnętrznej. Pomimo to zarówno radykaliści, jak i radykaliści-socjaliści są mu bardzo niechętni; nie chcą oni, mając większość izby za sobą, widzieć na czele rządu socjalisty; uważają, że i wśród nich znalazłby się człowiek, godny zajęcia stanowiska opróżnionego przez p. Clémenceau. I być może nie zdarzyłby się ten wielkiej wagi wypadek historyczny, którym jest postawienie na czele rządu socjalisty, gdyby w chwili upadku Clémenceau był obecny w Paryżu Leon Bourgeois i gdyby chciał przyjąć wogóle godność prezesa ministrów. Ale nie było go w Paryżu i, pomimo starań sprowadzić go nie

można było we właściwej chwili. Z drugiej zaś strony wiadomo było, że ofiarowanego stanowiska nie przyjmie.

To zdecydowało wybór Briand'a, głośnego od czasu przeprowadzenia przezeń prawa o oddzieleniu kościoła od państwa, oraz bardzo czynnego w sprawie ułożenia statutu dla urzędników.

Jeżeli wszakże stronnictwa radykalne francuskie niechętnie patrzą na nowego prezesa ministrów, to nie dlatego, że jest on socjalistą.

Jak zapewniają pisma francuskie, program jego nie odbiega od programu radykalistów, tylko, że temu ostatniemu nadaje on ruch i życie, leczy go od „paraliżu", którym jest on dotknięty w rękach radykalistów. Program Briand'a nie jest i nie będzie socjalistycznym. Jest w nim doprowadzenie do skutku emerytur robotniczych oraz podatku dochodowego, (choćby w formie złagodzonej w stosunku do projektu ministra finansów Cailloux, który do ministerjum Briand'a nie wszedł). Nowy prezes ma podobno i szersze zamiary w dziedzinie reform socjalnych, decentralizacji administracyjnej, reformy wyborczej, wreszcie powrócenia na służbę urzędników pocztowych. Ale nie ten program jest powodem niechęci do Briand'a. Sam skład nowego ministerjum, w którym jest tylko trzech socjalistów (Millerand i Viviani) daje gwarancję, że nie zejdzie ono z drogi nakreślonej przez lewicę republikańską, tymbardziej, że nie pozwoli jej na to większość parlamentarna. Ale właśnie o tę większość boją się radykaliści. W 1910 roku odbyć się mają nowe wybory do izby.

Otóż nie wiadomo, jak wypadną one, jeżeli na czele rządu wówczas stać będzie socjalista, jeżeli jak mówi się cynicznie, według wyrażenie *Mitin'a* „on będzie robił wybory".

Oprócz obrażonej godności, ta obawa przyszłej kampanji wyborczej przedewszystkim uzbraja przeciwko Briandowi radykalistów.

Ale czy ministerjum jego do wyborów utrzyma się na stanowisku?

W tych dniach stanie ono przed izbą, a w chwili, kiedy czytelnicy te słowa czytać będą, już stanęło. Ten pierwszy występ da może jakieś wskazówki na przyszłość.

Tymczasem ważnym jest, że Francja, ten rozsadnik nowych idei politycznych i społecznych, nie schodzi z drogi nakreślonej przez radykalny republikanizm, a przez postawienie na czele rządu socjalisty, choćby tak oportunistycznego jak Briand, wciąga i socjalistów do pozytywnej pracy politycznej.

I. P.

Młodzież polska na Wszechnicy lwowskiej.

Lwów — posiadający Politechnikę, Uniwersytet, szkołę leśną, wreszcie sąsiednie Dublany — jest najliczniejszym obecnie środowiskiem polskiej młodzieży. Stąd rozleje się po kraju największa fala nowego pokolenia. Co ona przynieść ze sobą jest zdolna? Na pytanie to odpowie życie.

Dziś młodzież akademicka lwowska jednolitej, swoistej fizjognomji nie posiada; jest to konglomerat bardzo różnolitych żywiołów. Nie chcę dotykać na razie stosunków narodowościowych, 3-ch grup: polskiej, ruskiej i nielicznej sjonistycznej; rozpatrzyć pragnę tylko cechy wybitniejsze młodzieży polskiej. Brak kontaktu pomiędzy tymi grupami, zarówno jak między jednostkami z pośród nich, jest zupełny. Próby zbliżenia, przedsiębrane niekiedy przez polski odłam postępowy, nawet wobec spraw materjalnych wszechnicy — nie dają w rezultacie nic — prócz rozgoryczenia.

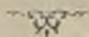
Uniwersytet lwowski jest przedewszystkim warsztatem produkującym zawodowców. Atmosfery ogniska naukowego w nim niema. Przyczyn szukać zapewne należy zarówno w doborze sił profesorskich, jak i w materjale, który stanowią liczne bardzo rzesze słuchaczów. Gmach uniwersytetu jest to stara buda poklasztorna, nie odpowiadająca najelementarniejszym potrzebom. Sale wykładowe mogą pomieścić zaledwie trzecią część zapisanych słuchaczów, mimo to są prawie zawsze puste, szczególniej na wydziałach filozoficznym i prawnym. Olbrzymia większość słuchaczów tych wydziałów to synowie drobnych urzędników prowincjonalnych, dążący do zdobycia—przez skończenie uniwersytetu, dostępu do urzędu wyższego stopnia, lub rządowej posady nauczycielskiej.

KAIN.

z Leconte de Lisle'a

przełożył

ANTONI LANGE.



W trzydziestym roku, w czasie próby długowiecznej,
Pojmany do niewoli na ziemię Assura —
Togorma, mąż Widzący, syn Elma, wnuk Tura —
Miał taki sen, gdy usnął śród trzciny nadrzecznej
W godzinie, gdy od słońca bieleje natura.

Od kiedy strzelec Jahweh, co śmiertelne ciosy
Mierzy w silnych, ich ciałem karmiąc sępów stada,
Oddał lud swój w niewolę Asyrji — gromada
Cała, goląc na czaszce i twarzy swe włosy —
Oniemiała, bezmyślna pod jarzmem upada.

Ugięci pod ciężarem tych nędz ustawicznych,
Zgłodniali i spragnieni — poglądali w strachu
Na ruiny swych grodów i świątyni gmachu,
A jak surowe mięso na jatkach publicznych
Wisiały ich książęta na szubienic haku.

Stopa nieobrzezanych gniotła kark i ducha
Walecznych. W proch upadły spustoszały mury
Świątyni, gdzie swe modły śpiewały praszczury,
I dziewice płakały pod biczem eunucha,
A z niebios patrzał Jahweh niemy i ponury.

Więc w dzień ów, zostawiwszy przy prababkach siwych
Na matach z skór bydlęcych uśpione dzieciny
I piękne białogłowy smutnej swej drużyny —
Syn Elma, od młyńskich trudów uciążliwych
Znużony — nad Khobarem legł usnąć śród trzciny.

Na pastwiskach promieńmi oblanego łanu
W cieniu palm — spoczywały byki i rumaki
I wielbłądy dwugarbne — a przy nich strażaki,
Co przybyli z Chaldejskiej ziemi i z Ironu.
Mąż Widzący Togorma miał sen. Oto taki:

Trzeba jakoś przeżyć lata „studjów" i późniejszego oczekiwania; gdy się jest jednym z kilkorga dzieci jakiegoś urzędniczka z Jasła, czy Kołomyi, na pomoc z domu liczyć trudno. Trawi się tedy dni i noce na przepisywaniach, zdolniejszy zaczepi się jako reporter przy której z redakcji, mniej zdolny będzie popychadłem biurowym; dość dochodowe jest „obkuwanie" łaciną i greką przygotowujących się do matury pensjonarek. — Gdy jest „protega" można się wcisnąć na osobistego sekretarza do jakiego matadora, — gdy się jest „bardzo na swoim miejscu" można zostać wychowawcą w bursie. I tak pcha się rok za rokiem, wyczerpując siły i energję, aby potym osiąść znów w Jaśle, czy Kołomyi i odrabiać biurowe „kawałki".

Dodajmy jeszcze, że warunki życia we Lwowie są bardzo drogie, ceny mieszkań i produktów przewyższają o wiele normy np. warszawskie; nie zdziwi nas wtedy powodzenie założonych przez Ligę pomocy przemysłowej warsztatów studenckich, powodzenie zresztą dla rozwoju dążeń Ligi bynajmniej nie miarodajne, gdyż większość zarobkujących chwilowo w tych warsztatach wraca, po przebrnięciu przez egzaminy — do utartych ścieżek. A istnieją tu przecież i takie objawy, że młodzież gimnazjalna bywa gromadnie najmowana, naturalnie za pół darmo, do robót polnych przez dobroczynnych obywateli; — fundusze na dalsze kształcenie zdobywa pracą w polu — od świtu do nocy, co przez niektórych uważane jest za pomyślny zwrot ku wzmacniającemu fizycznie ruchowi na świeżym powietrzu.

Tak więc ten uczący się proletarjat gotów jest nająć się do wszelkiej pracy, nie może stawiać warunków, bo żyć trzeba, — obniża też do minimum normy pobieranych płac. Stosunki powyższe szerokie dają pole do obserwacji i rozpraw na temat: czy wczesny udział w walce o byt hartuje, czy też łamie jednostki. — Na pracę umysłową to absorbowanie się wysiłkami zarobkowymi wpływa bezwarunkowo ujemnie.

Reszta, zostająca po odliczeniu jeszcze niezbędnej cząstki czasu na rozrywki, wiecowanie i t. p., — a przeznaczona na studja — wystarcza zaledwie na „odkucie" kursu przed egzaminem.

Znaczna ilość zapisanych słuchaczów zarobkuje nie tylko we Lwowie, ale na prowincji; zjawiają się oni na uniwersytecie w pewnych terminach, dla wydobycia podpisu t. zw. frekwentacji, zresztą bytują w środowisku nie mającym z intelektem nic wspólnego.

Wśród tej falangi pchających się przez uniwersytet dla utylitarnych wyłącznie celów — różnicują się dwa typy. Wspomniani już synowie urzędników prowincjonalnych — i synowie włościańscy. Na tych ostatnich uwydatnia się najjaskrawiej cała wadliwość galicyjskiego systemu szkolnego.

Jeśli uwzględnimy nawet, że do szkół wyższych przedostają się nie najzdolniejsze jednostki, ale raczej posiadające materjalną pomoc, tak jak to jest u nas z księżmi, wychodzącymi z chłopów, — to jednak stwierdzić trzeba, że następstwem szkoły, nie zneutralizowanej oddziaływaniem środowiska — jest zupełny bezwład umysłowy. Kilku, może kilkunastu synów chłopskich ocali dusze od szablonu i przyniesie społeczeństwu cząstkę tej mocy, której ono od tej nowej, z głębin wypływającej fali oczekuje. A ilu zagubi tęsknotę za przeczuwanym światem prawdy i piękna— w suchej martwocie kursu i bezcelowym wysiłku gimnazjalnego kucia? Do uniwersytetu pcha ich już tylko zaciekłość, aby dojść do raz wytkniętego celu, choć celem tym już wtedy nie jest wzniesienie się do wyższych kręgów poznania, a wdrapanie się na szczebel społeczny, dający bądź co bądź pewne przywileje.

W stosunkach koleżeńskich znamionuje ich pewne przygnębienie i ociężałość — w przeciwstawieniu do nie gardzących trywjalną wesołością i tanimi rozkoszami miejskiego życia—kolegów drobno-mieszczańskiego pochodzenia. Na tle tego najsilniejszego liczebnie elementu wyodrębniają się umysły podatniejsze do szerszej kultury, ludzie różnego zresztą pochodzenia.

Niepomiernie liczną jak na społeczność młodych jest grupa karjerowiczów, dla których doktorat jest schodkiem niezbędnym na tej drodze, co przez „plecy", stosunki, ukłony i wszelką lojalność prowadzi do miejsca „w sferach miarodajnych". Najwięcej tu znowu filozofów i prawników, są wśród nich synowie wyższych urzędników, lub zamożniejszych obywateli, wychowańcy Chyrowa, lub edukacji domowej; nie oni jednak przeważają, gdyż znaczna ich część odpływa do Wiednia, na ten zaś odłam złączony psychologicznym pokrewieństwem składają się odpadki wszelkich grup i typów.

Tak przedstawił mi się w najogólniejszych zary-

Oto był wieczór czasów tajemniczych świata,
Wówczas gdy od południa słońc do zórz północnych
W przyrodzie rozkwitały pełne soków mocnych
Skała—kwiat—zwierz — i ptaków gromada skrzydlata
I gdy Bóg śród swych trudów oddychał owocnych.

Więc był to wieczór czasów. Nad wzgórzami chmury,
Wznosząc się nad kipiącej morskiej kadzi łono —
Zwieszały się na niebie — jako ołów bury:
To znów porwane wirem szalonej wichury
Z hukiem się w błyskawicę wiążą nieskończoną.

Na zachód jakieś zeze oko purpurowe
Pogrążało się zwolna w złote morza piany,
A na wschód Dżelboe-hor spadzisty — odziany
Od podnóża do szczytu w swe blaski surowe
Płonął jak stos żałobny — jeszcze krwią oblany.

A w oddali — w oddali szumią pustyń piachy,
Kędy wyją szakale i gdzie ryczą osły —
I kędy naraz potwór jaki wielkorosły
Zgrzytem kłów lodowate sieje w okół strachy
I łamie stare palmy, co zielono rosły.

Lecz pod Dżelboe-horu pasma szczytem śnieżnym —
W gęstej mgle, gorejącej od tych płowych woni,
Które rozlewa niedźwiedź i król puszcznych błoni—
Lew — ryczący jak wicher na morzu bezścieżnym —
Słychać było nieznany szum w pomroku toni.

I widział mąż ów zdala, jak rosła — brzemienna
Żelazem — ściana grodu, a ponad nią wieże
I pałace śpiżowe — niezdobyte leże —
Ul ogromny, o wnętrzu strasznym Gehenna,
Gdzie mieszkały olbrzymie dawnych dni rycerze.

A ci schodzili z szczytu gór i z równin sali,
Z głębi lasów i pustyń wieczystych bez wiosny —
Niezłomniejsi nad cedry i wyżsi nad sosny,
Znużeni, zlani potem, od kurzawy biali —
A każdemu wnętrzności szarpał głód nieznośny.

A każdemu na barkach zwisał lew krwiożerny,
Kosmaty niedźwiedź albo jeleń wielorogi —
Zaś olbrzymie niewiasty ich przez leśne drogi
Niosąc w dzbanach kamiennych kryształ wód z cyster-
Szły, z nagimi ramiony, wolno stawiąc nogi. [ny —

sach materjał ludzki,ześrodkowany przy Lwowskiej Wszechnicy, jest to zastęp 3000-ny, nie licząc około 400-u kobiet.

A życie uniwersyteckie tego zastępu, w owych latach największego napięcia duchowego?

Kół, kółek, stowarzyszeń, związków, posiedzeń, dyskusji — wiele; zbiorowe życie pod względem umysłowym, społecznym, politycznym, ba — nawet towarzyskim — ospałe i jałowe. Cechą najwybitniejszą tego życia, cechą, która wprost przeraża uważniejszego obserwatora, jest zupełny brak rozpraw, czy też dociekań zasadniczych. Wśród tego ogromnego zastępu młodych umysłów brak zupełnie impulsu do samodzielnego myślenia, brak wewnętrznego pędu do oparcia własnego światopoglądu na własnych przeżyciach myślowych.

Jedną z ważnych przyczyn tego stanu wydaje mi się bezkarne obałamucanie partyjne młodzieży gimnazjalnej. Na szeroką skalę praktykuje się tu potworna wprost robota zasilania kadrów organizacjami uczniowskimi.

To anektowanie małoletnich na rzecz organizacji partyjnej praktykowane jest najszerzej przez młode siły endeckie i może tu jest źródło ich chwilowej, liczebnej siły, bo, że z ogólnej liczby zdeklarowanych partyjnie studentów duża większość przypada narodowym demokratom, — to jest faktem. N.-decja opanowała wyłącznie Czytelnię Akademicką, która do niedawna była i w założeniu swym być winna centrem i organem reprezentacyjnym ogółu młodzieży. Mniejszość postępowa, wszelkich odcieni, stworzyła nowe stowarzyszenie „Życie". Walka tych dwuch ognisk, to punkt ciężkości całego akademickiego życia. Stan taki byłby niemal normalny, gdyby nie charakter onej walki. Jak już wspomniałam, zasady, odcienia myślowe nie są tu przedmiotem sporu, przynależność sztandarowa jest z góry co do osób przesądzona, chodzi tylko o te osoby, o ich rozmieszczenie w hierarchji, o granicę wpływów, o momenty reprezentacyjne.

Około Czytelni skupiały się uniwersyteckie kółka naukowe, z chwilą wydzielenia się żywiołów postępowych powstała współrzędna ich serja, — mamy tedy po dwa kółka polonistów, historyków i t. d. — nawet dwa kółka studentek, jedno z przydomkiem „polskie", drugie „postępowe". Wogóle ta nomenklatura stosowana jest przez młodzież narodową w całej pełni — wraz z bezczelnym rozdawaniem patentów na prawowierność narodową,—zupełnie jak wśród „starszych". Następstwem takiego podziału i tak nielicznych sił, chętnych do nadobowiązkowej pracy naukowej — jest suchotniczy żywot kółek. W ciągu roku bieżącego poczęły nurtować wśród n.-deckiej młodzieży dążenia „frondowe". Rysy na dotychczasowej, bezwzględnej karności wobec *Słowa polskiego* pogłębiają się, — rozłam jest nieunikniony, nie będzie on jednak ideowym odrodzeniem.

Niezadowolenie wyrosło (znowu zupełnie jak u „starszych") na gruncie różnic sądu o taktyce i wstrętów do osób, z niechęci do kliki — nie może się jednak wyłonić prąd zdolny przeciwstawić się ciasnemu szowinizmowi, umysły bowiem zdeprawowane już są wykrętną frazeologją. Rozprawy tutejszej młodzieży n.-deckiej to karykatura, uwydatniająca całą miałkość haseł i płytkość ideowego podkładu, który zaciężył swym tak szerokim wpływem nad kulturą umysłową pokolenia.

Prócz wymienionych istnieją jeszcze takie organizacje jak: „Sodalicja marjańska", wegietujące zaledwie kółko „Ethos" oraz—specymen lokalny, „Klub akademicki" — grupujący młodzież przyznającą się do barwy konserwatywnej: — klika przezornych, którzy na tej „pewnej" drodze poczynają już w uniwersytecie stawiać pierwsze kroki — ku karjerze.

W ogólnych zarysach tak mi się przedstawiła młodzież Wszechnicy Lwowskiej, jako poziom umysłowy i zabarwienie przekonaniowe.

W sumie niewesołych spostrzeżeń znaleźć się jeszcze musi wzmożona w ostatnich czasach manja pojedynkowa, w większości wypadków bezkrwawa, powodująca tylko nową serję formalistycznych posiedzeń, rozpraw i protokułów.

Przedmiotem specjalnych rozważań winienby być udział młodzieży akademickiej w życiu ogólnym politycznym i społecznym, a więc jej agitacje wyborcze i praca oświatowa. W tej ostatniej najczynniejszą jest młodzież narodowa. Jej akademickie koło T. S. L. daje, co dać może, a więc: dużo dyletantyzmu, sporo zapału, podkład partyjno-agitacyjny, słowem znany typ t. zw. „paskudzenia oświatowego", polegający na obchodach okolicznościowych i dorywczych a nieudolnych odczytach. W tej „robocie", dla „oświecanego kmiotka" stanowczo obojętnej, lub szkodliwej, najle-

---

Tak rzucając przed siebie swe dumne spojrzenie
Szły, wystawiwszy naprzód nagą pierś — z pogodą,
Co była straszna swoją siłą i swobodą —
I białe swoje stopy na mech i kamienie
Z jednakowym spokojem po kolei wiodą.

Wiatry, pełne szacunku w ich warkoczy splotach
Drżąc, po ich marmurowych karkach się błąkały,
A ściany, krwi kolorem malowane ściany,
Niby wielkie zwierciadła, wiszące w ciemnotach —
Szkarłatami wieczoru grzbiet im oblewały.

Osły z Khamosu — krowy z ciężkimi wymiony,
Czarne kozły — i byki zbłąkane szeregiem
Szły — i drągami bite warkim śpieszą biegiem —
I łydki wielbłądzicy kąsał pies spieniony,
A wrota skrzypią zawias pordzewiałych ściegiem.

Śmiechy, gwar, odgłos dzikich pieśni coraz żywszy —
Pomieszany z żałosnym gnanych stad beczeniem,
Niby huk skał pod fali burzliwym wstrząśnieniem
Szły aż do wież, gdzie, na krzyż ręce założywszy,
Stali starcy, pokryci skórzanym odzieniem;

Widziadła, którym broda całe piersi bieli
I srebrną pianą błędnie na ramiona bieży,
Nieruchomi od twardych — skórzanych kołnierzy —
I którzy z szczytu murów dumnie się patrzeli
Na swój lud, co ma w oczach toń mórz bez rubieży.

I później kiedy wszystko — tłum i szum i pyły —
Znikły za wałem grodu olbrzymów straszliwym
Mroki ze swych czeluści piekielnym ogniwem
Lodowatych przerażeń zgrozę wyłoniły —
Rozlaną śród mgły nocnej w westchnieniu chrapliwym.

I Widzący czuł, jak mu staje włos na głowie,
Gdy ujrzał, jak się z mroków ta zgroza wychyli —
I poznał w swoim duchu, że tu postawili
Przed laty gród męczarni wyklęci przodkowie;
Że tu jest gród Kaina na ziemi Hevili.

Tu stanął on swą krwawą stopą, całą w kurzu,
I, krwawym patrząc okiem, błędnej rzekł rodzinie:
— „Grób mi zbudujcie! Życia mego czas wnet minie.
Złóżcie mnie samotnego na kamiennym wzgórzu.
Tułacz chce usnąć! Dosyć męki! Umrę ninie.

piej jednak jeszcze wyrabiają się podatniejsze jednostki — tak, że po paru latach doświadczeń na żywym materjale zdolne są nawet do krytycyzmu wobec własnej pracy. Objawiło to niedawno w założonym „Kółku samokształcenia oświatowego", które stworzyli w poczuciu nieudolności własnej najczynniejsi dotąd działacze akademickiego koła T. S. L.

A więc w końcu — jakiś jaśniejszy objaw wśród czarnego obrazu. Jednostkowych znalazłoby się może i więcej, gdy jednak patrzy się na całą falę i pyta: co ona z sobą niesie? to ponad tłoczącą się miernotą zdają się unosić słowa Słowackiego: „gdzie pożar serca skrzy, lecz nic się nie odmieni — i nic w nas nie wybucha".

I. K.

W obronie wzgardzonych.

Nierzadko u podstawy wielu rzekomo naukowych teorji, tych zwłaszcza, które w wynikach swoich praktyczną rodzą działalność, dopatrzyć się można pobudek natury egoistycznej.

Taką jest np. doktryna „ras wybranych", gorliwie głoszona w Anglji w obronie haseł imperjalistyczno-zaborczych, między innymi i przez wielkiego piewcę dżungli, Rudyarda Keeplinga. Jako skutek praktyczny, wypływa z doktryny tej stałe powoływanie się Europejczyka na ciążącą na nim w stosunku do ras kolorowych „misję opatrznościową", której wygodny płaszczyk kryje zazwyczaj samolubną chęć panowania i wyzysku.

Egoizmem, może nieświadomym, kierować się również musiał Letourneau, gdy mówiąc o „hierarchji ras ludzkich", i dowodząc z całą uczoną powagą, że nie było przykładu, aby rasa, anatomicznie *niższa*, stworzyła wyższą cywilizację, uzasadnił faktem tym konieczność dzielenia ras na *wybrane*, których przedstawicielką jest oczywiście biała, oraz na *wyklęte* (*réprouvées*) jak murzyńska, lub czerwonoskóra.

Samolubnymi też pobudkami próżności tłumaczyć jedynie można dziwną pobieżność sądu Karola Vogta, który na podstawie zbadanych *sześciu* czaszek przedstawicieli czarnych plemion, orzeka *niższość* rasy murzyńskiej.

Od takiej, naukowo wyprowadzanej teorji—prosta już droga do okrutnego postępowania z murzynami w kolonjach, do potwornych bezprawi w Kongo i na Madagaskarze, do rozkazów cesarskich dawanych odjeżdżającym do Chin wojskom, aby nie szczędziły nieprzyjaciela. W dalszej konsekwencji idą zatym wszelkie, stosowane w praktyce, teorje o narodowościach „żywotnych, panujących", których rola dziejowa polegać ma na pochłanianiu narodowości „niższych", skazanych na beznadziejną zagładę.

Szczęśliwie jednak, nazbyt wygodnym teorjom tym zadają kłam oczywisty coraz liczniejsze przykłady odradzania się i pełnego rozwoju ras, uważanych za niższe (Chiny, Japonja, Indje). Nadto rozlegają się coraz częściej w obronie krzywdzonych głosy poważnych socjo i etnologów, których autorytet znacznie osłabia siłę dowodzeń—pożądanych z punktu widzenia egoizmu.

Na czele uczonych tych stoi Topinard, który w „Antropologji" swojej obala zasadniczy punkt wyjścia zwolenników podziału ras na niższe i wyższe, dowodząc niemożliwości istnienia ras czystych. Za nim idzie Leon Miecznikow, który w wiekopomnym swym dziele „La civilisation et les grands fleuves" oburza się na stronników teorji niższości ras, nazywając dowodzenia ich teorjami „handlarzy niewolników lub też dawnych plantatorów w Stanach południowych" nie zaś sądem naukowym. Ostatnio powiększył też zaszczytne grono obrońców ras wzgardzonych socjolog angielski, Teofil Samuel Scholes. Olbrzymią swoją dwutomową pracę, (pierwszy jej tom wyszedł z druku już w 1905, drugi zaś w obecnym) pod tytułem: „Glimpses of the Ages, or the Superior aud Inferior Races"—poświęcił on systematycznemu obalaniu na wszystkich punktach teorji „niższości" ras, widząc w niej, jak wogóle w całym stosunku rasy białej do kolorowej, dowód oczywisty ruchu wstecznego, panującego obecnie w Europie.

Wnioski i wywody antropologów, na których powołują się i opierają stronnicy hierarchji ras, obala Scholes dwoma podstawowymi argumentami: 1) Liczba mierzonych czaszek była u wszystkich kranjologów zbyt małą, aby mogła upoważniać do wniosków; należałoby ją przedewszystkim oprzeć na olbrzymim, ściśle naukowo opracowanym, materjale, i 2) co ważniejsza jednak, czaszki określonych typów nie są bynajmniej stałą i nieodmienną właściwością danej rasy, bowiem zarów-

---

Ziemie, nieznane ludziom, dzikich gór pieczary —
Wyście widziały, jakem tułał się po świecie
Nieustannie. Tu staję i padam. Na grzbiecie
Połóżcie mnie w mogile — twarzą w niebios gwary,
O, wy, mojej miłości i rozpaczy dzieci!

Niechaj słońce ogląda — i niechaj deszcz myje
Piętno, co mi nienawiść wyryła nad czołem:
Ciało moje przed głodnym sępem i sokołem
Uchroni się. Mych oczu pustych mrok nie wyje.
Podli niemo stać będą tam, gdzie ja spocząłem.

Ale niech jęki wichrów, niech groza katuszy
Czuwań nocnych; niech głodu ból, niech błądzeń żwiry
Niech żałoby wczorajsze i dzisiejsze kiry,
Niechaj agonja świata napełnia me uszy
I huczy w moim sercu jak potoków wiry!"

A więc tak uczynili. Orły uleciały
Z miejsca, gdzie ten straszliwy czyn był dokonany:
Pradziad usnął w mogile, latami złamany,
Według woli zwrócony twarzą na upały
Słoneczne, na lazury i na burz orkany.

Enochio, twierdzo mężów straszliwych gromady!
Pieczaro Gwartowników! Niezwalczonych grodzie!
Ty, coś nigdy nie znała w rozpaczy ni głodzie
Strachu ani zgryzoty! drżał syn Elma blady,
Kiedyś stanęła przed nim w zmarłych wieków lodzie.

Otchłani, gdzie od niebios w dale zabłądziwszy,
Anioł ujrzał i piękno ukochał niewieście!
Otchłani, gdzie się w boskim tym począł inceście
Olbrzym, co później w ród się szerzył wciąż straszliwszy
Prorok ujrzał cię we śnie dziś — w spiżowym mieście!

Widział twe wielkie schody, a na nich ogniste
Pochodnie, co się wiją w nocnych wiatrów pyle;
Słyszał ryki niedźwiedzi, i lwów, które sile
Twych łańcuchów uległy. Widział przezroczyste
Fale twych wód, gdzie czarne jęczą krokodyle.

I ze wszech stron w tym groźnym, śpiżowym potworze
Śpiących z otwartym okiem dochodziły tchnienia —
I tylko tu i owdzie — śród mroków milczenia
Jakieś widma żałobne opuszczały łoże,
By słuchać tajemniczych szmerów nocy cienia.

no długogłowość (dolichocefalizm) jak krótkogłowość (brachocefalizm) bywają często cechami jednego i tego samego plemienia. U Słowian np. znajdujemy czaszki trzech różnych typów. To samo również spostrzegamy u ściśle odciętych od wszelkich sąsiadów, czystych na pozór plemion, żyjących na n ewielkich wysepkach Oceanu Spokojnego.

Ani kranjometrja tedy, ani badania porównawcze, przeprowadzane w kwestji wagi mózgu europejczyków i murzynów, nie dają — zdaniem Scholesa — prawa do dzielenia ras ludzkich na niższe i wyższe, na wybrane i odtrącone.

Obaliwszy tą drogą podstawy teorji niższości ras, przechodzi Scholes do przeciwstawienia apriorycznym przesłankom przeciwników szeregu danych, opartych na materjale faktycznym. Rozpoczyna je od śmiałego rzucenia rękawicy zdaniu Letourneau, jakoby anatomicznie niższa rasa, jak np. murzyńska, nie mogła się zdobyć na stworzenie wyższej cywilizacji. Według Scholesa jest słynna kultura egipska pochodzenia murzyńskiego, o czym świadczyć ma egipska sztuka plastyczna, a nadto dane filologiczne, fizyczne i historyczne. Filologja np. wskazuje, że pomiędzy językiem starożytnych Egipcjan a językami semickim i aramejskim zachodzą tak zasadnicze różnice, że już one same wystarczyłyby do obalenia mniemania, jakoby ludność starożytnego Egiptu była pochodzenia semickiego. Potwierdza to również stosunek języka egipskiego do języków indo-europejskich, gdy, natomiast, zdumiewające podobieństwo języka egipskiego do mnóstwa djalektów plemion afrykańskich świadczyć ma wyraźnie — według autora — o należeniu twórców kultury doliny Nilu do tak zwanych chamidów.

Zdanie to potwierdza wiarogodne świadectwo Herodota, który, zwiedziwszy Egipt powiada, że lud tego kraju jest czarny czyli należy do rasy murzyńskiej.

Tak więc — wnioskuje Scholes — rasa, uważana za niższą, za napiętnowaną klątwą organiczną, zdobyła się na stworzenie wspaniałej kultury, która poważny wywarła w następstwie wpływ na bezprzykładną w dziejach—kulturę grecką.

Przechodząc od badania wieków minionych, do świadectwa teraźniejszości, stawia autor następujące pytania: Czy isotnie, jak utrzymują rzecznicy teorji niższości ras, przedstawiciele ras kolorowych, pozostawieni samym sobie, są barbarzyńcami, zdolnymi jedynie do wzajemnego mordowania się i tępienia? Czy istotnie lekceważenie przez rasę białą jej opatrznościowej misji „cywilizacyjnej” groziłoby ludzkości przeistoczeniem jej w okryte burą szerścią małpy?

(D. n.) *R. C.*

NA DOBIE.

Zygmunt Noskowski.

(Wspomnienie pośmiertne).

Zmarł w Warszawie w 63 roku życia największy muzyk polski chwili bieżącej—Zygmunt Noskowski, największy i pod względem siły twórczej, i pod względem jej wydajności. Noskowski napisał bardzo wiele. Pozostawił po sobie opery, symfonje, ilustracje sztuk dramatycznych i szereg pieśni, krakowiaków, polonezów i t. d. Są w tym dorobku rzeczy znakomite, które pozostaną na zawsze chlubą naszej literatury muzycznej, są i rzeczy słabsze. Ale niema na pewno tego, coby być mogło, gdyby Noskowski znajdował się w warunkach, któreby pozwalały mu tworzyć bez oglądania się na zysk natychmiastowy, co zmuszało go często do roboty pośpiesznej, przymusowej, niższej niż jego talent.

— Jak będę leżał na Powązkach, wtedy dopiero będę miał uznanie — mówił podobno Noskowski.

Omylił się o tyle, że uznanie to zaczęło się wcześniej, bo ledwie zamknął oczy... już utworzył się komitet w sprawie urządzenia pogrzebu, już zaczęto okazywać jego pamięci względy, których nie miano dlań za życia.

A jak postępowano z nim, opowiada nam *Przegląd Poranny.*

Noskowski „kierował dzielnie Filharmonją ku ogólnemu zadowoleniu... Z błahych przyczyn dano mu dymisję w połowie kwietnia i rozporządzenie to wręczono podczas nieobecności Noskowskiego rodzinie. Zmarły o tym „dobrodziejstwie” Filharmonji do śmierci nie wiedział, gdyż rodzina nie chciała takiego drakońskiego wyroku komunikować zgasłemu pieśniarzowi polskiemu. I gdyby jeszcze ta dymisja podana była wraz z uregulowaną zaległością, przypadającą dyrektorowi muzycznemu Filharmonji... Gdzie tam. Jeszcze dotychczas zmarłemu należy się około 900 rubli zaległej pensji” (podobno już 400 rub. wymęczono od Filharmonji).

Ale—dyrektor Filharmonji jest członkiem komitetu pogrzebowego, i instytucja ta złoży napewno wieniec na jego grobie.

Mniej więcej podobny stosunek łączył zapewne Noskowskiego z tymi wszystkimi, od których byt jego zależał. Przypuszczenie to jest tym prawdopodobniejsze, że jest to los wszystkich naszych wielkich artystów i wielkich talentów!

Lecz oto z łona mroków rozdartych — od dzikiej
Granicy puszcz, co huczy wrzawliwym cyklonem
Jakiś jeździec straszliwy na rumaku wronym —
Z zaciśniętymi pięśćmi, z grobowymi krzyki
Biegł przez góry i doły w galopie szalonym!

A jego jasne włosy w wiatrach, jak rzemienie,
Ulatywały z szumem, a koń biegł z tętentem,
A za nimi z chrapliwym przeciągłym lamentem
Waliło tłumem gęstym rozliczne stworzenie,
Które żyje na ziemi i pod firmamentem.

Orły i lwy drapieżne, psy i gadzin mrowie,
Głodne sępy, niedźwiedzie, wilki i wilczyce —
I behemoty grube, jako twierdz wieżyce —
Biegły i przeklinały w swej ryczącej mowie,
Enochu, twą ponurą i straszną stolicę.

Ale syny Aniołów spały w ciszy głuchej,
A wielki rycerz wołał, stanąwszy na murze:
— Biada tobie, Enochio! biada-ć, pychy wzgórze!
Grodzie tego, co bunty knował od pieluchy
I którego przed czasem przeklął Bóg w lazurze!

Mogiło przeklętego! Dzień pomsty nadchodzi —
Morze huczy i wyje, a powierzchnia fali
Wnet wyżej ponad góry na ptastwo się zwali:
Zagłada ostateczna — straszliwa się rodzi —
I siedm pieczęci niebios piorunami pali.

I dzika puszcza mówić będzie: „Czym się stała
Enochia, podobna Dżelboe kamiennej?”
Sęp i kruk mówić będą w swej mowie plemiennej:
„Gdzie twierdza, co tu niegdyś strach naokół siała,
Gród olbrzymi o ścianie żelazem brzemiennej”?

Dobrze im jest wśród nas — umierać, ale źle jest żyć!

Być może, że miał Noskowski pewną nierówność w stosunkach z ludźmi. Ale należało to uwzględniać, bo on stokrotnie ją opłacał swymi wielkimi dziełami. Gdyby społeczeństwo nasze było więcej artystycznie wykształcone, gdyby cześć dla sztuki i talentu była w niej głęboką potrzebą a nie jedną więcej okazją dla tak powszechnego u nas *snobizmu*, Noskowskiemu stworzonoby odpowiednie warunki twórczości.

Ale po co?

Daleko łatwiej jest urządzić... pogrzeb.

Życie Noskowskiego—to przyczynek nieporównany do charakterystyki naszej kultury artystycznej, naszej obłudy społecznej, poziomu naszych sfer „przodujących".

P. P.

Czesi u nas.

Od Komitetu, organizującego przyjęcie gości czeskich, otrzymaliśmy odezwę następującą:

W roku zeszłym różne grupy rodaków naszych udawały się do Czech, celem zwiedzenia wystawy w Pradze.

Ktokolwiek przyjechał tam z Polski witany był z zapałem. Przyjęcia przeszły granicę gościnności i stały się objawem uczuć braterskich narodu do narodu.

Wieśniaków naszych porywali rolnicy czescy, aby im pokazać swoje gospodarstwa, aby ich ugościć we własnej zagrodzie. Słów braknie, by wyrazić tę, z głębi serca płynącą, życzliwość, jaką wówczas okazano imieniu polskiemu.

Pobyt w Czechach wyrył w duszach Polaków niezatarte wspomnienie. Zobaczyli naród, godny podziwu i naśladowania. Z mogiły niemal, w którą wtrąciła ich przemoc niemiecka, nasi pobratymcy dźwignęli się siłą własną i wiarą w przyszłość. Odrodzili się pracą. I dziś świecą przykładem dzielności i patryjotyzmu, budzą podziw kulturą i zasobnością.

Czy przyjaźń takiego narodu może nie być cennym nabytkiem?

Obecnie Czesi zapowiedzieli nam swoje odwiedziny. Odwiedzinom tym nadają charakter pełen powagi: wysyłają do Polski wybitnych przedstawicieli wszystkich stanów, wszystkich instytucji społecznych i narodowych.

Jak przyjmiemy pobratymców?

Przedewszystkim sercem za serce, okazane w roku zeszłym. Oni wiedzą, że nie mamy organizacji i urządzeń, posiadających odpowiednie środki do wystąpień publicznych. Wszystko to musi zastąpić dobra wola i zapał pojedyńczych obywateli. I te niech spotkają goście nasi na każdym kroku.

Święte są obowiązki gościnności. Dla nas są po dwakroć święte — sercem za serce.

W imieniu Komitetu

Zdzisław ks. Lubomirski,
prezes.

Z zasadniczą myślą tej odezwy łączy się całe społeczeństwo polskie. Gości wogóle a tymbardziej członków pobratymczego narodu, którzy przyjeżdżają do nas bez żadnych politycznych tendencji, któreby—tak lub inaczej tłumaczyć można było, którzy swym przyjazdem urzeczywistniają w drobnych choćby rozmiarach ideę braterstwa narodów—gorąco i serdecznie przyjąć należy. I tak też zapewne się stanie. Komitet, urządzający przyjęcie gości czeskich, przyczyni się niewątpliwie do tego, aby z wizyty przyjemne wywieźli wrażenia i nie pozwoli nikomu zboczyć na manowce takiej czy innej polityki, i polityki wogóle. W tym przekonaniu witamy gości czeskich.

— Na zdar!

Taka sobie bajeczka.

Onego czasu na wale praskim odbywały się oryginalne w swoim rodzaju rewje — drużyna nadwiślańskich wyrostków bez szemrania wykonywała najfantastyczniejsze rozkazy swego wodza.

Maleńka początkowo armja rosła z dnia na dzień, pomimo, że podstawą jej istnienia była niesłychana karność. Wszelki objaw samodzielności nietylko w czynach, ale i w myśleniu szeregowców uważany był za zdradę „świętej sprawy", i przestępca karany był sądem polowym. Wówczas symbol najwyższej władzy — duży sękaty kij, w rękach dzielnego wodza zamieniał się w narzędzie sprawiedliwości.

To „Ignac" przygotowywał zastępy wojowników do walki z mającym się narodzić socjalizmem.

* * *

Minęło wiele lat — zwycięska armja zapragnęła spocząć na zdobytych laurach. wódz jednak, nowych wyszukując wrogów, do dalszej walki zagrzewał. Optymiści jednak mniemali, że pod wpływem kulturalnych prądów nastąpi zmiana oręża. Tak przynajmniej sądził jeden z obecnych sprzymierzeńców praskiego Napoleonka, ośmielił się bowiem powiedzieć mu trochę prawdy w słowie, aliści zerwał się „Ignac" i miasto odpowiedzi, kij sękaty „zdrajcy" pokazał...

Odżyły dawne instynkty!

kż.

Wy zginiecie, Kaina przeklęci synowie!
Ani pyłu ni kości z was nie pozostanie —
Oto już niecierpliwe zawyły otchłanie
Nad pokoleniem tego, co w myśli i słowie —
Nie chciał przed Twą potęgą uklęknąć, o Panie!

Kainie! Bratobójco! Ty, w noc bezpromienną —
Jeszcze w łonie swej matki na wieki przeklęty!
Biada ci! Dotąd słońce pije krwi tej szczęty,
Co ją rozlała dłoń twa maczugą kamienną —
I wiecznie będzie piło z twej piersi jej męty.

Ty, nad którego cichym snem króluje pycha,
Nędzne ciało! Ty duchu, pomście zdany wiecznej,
Któryś nie znal nadziei ni wiary słonecznej,
Biada ci! Pies szczęśliwszy, co za miastem zdycha!
W straszliwej ci twej zbrodni dojrzeć dał Przedwieczny.

Wówczas pod ciemnym szczytem twierdzy buntowniczej,
Podnosząc czoło ludów i piersi i ramię
Pośród obelg i przekleństw zwolna wstał w swej jamie
Olbrzym, co go zrodziła na ten świat goryczy
Ta, przez którą zginęły syny twe, Adamie!

Stanął wyprostowany w pościeli granitnej,
Gdzie minęły już nad nim sześciowieczne lata,
Jak usnął, by się więcej nie zbudzić do świata —
I spojrzał w gęste mroki puszczy starożytnej —
I na piersiach spoczęła jego dłoń kosmata.

Lice było pokryte brodą osiwiałą,
Lecz pod gęstymi brwiami błyszczało mu oko,
Jedną marą zajęte, otwarte szeroko —
I w horyzonty od wieku—w wiek—na wstecz patrzało,
Stając duchem przed świata młodzieńczą epoką.

Konkurs.

Wydział Towarzystwa Oświaty Ludowej we Lwowie, *rozpisuje ponownie* konkurs na napisanie popularnej „Historji Polski", wyznaczając termin do dnia 1 października 1910 roku.

Praca ta ma przedstawić całość dziejów Państwa i Narodu polskiego, do dni dzisiejszych, z szczególniejszym uwzględnieniem dwu ostatnich stuleci. Historja ta, przeznaczona dla czytelń Towarzystw oświatowych, ma być napisaną treściwie, a popularnie i patryjotycznie, aby mogła przemawiać do dusz czytelników; oprzeć się zaś winna na *wynikach dzisiejszych badań naukowych*. Wymaga się by praca ta zawierała elementarne wiadomości z gieografji Ziem polskich i zachowała równomierność w przedstawieniu stosunków wewnętrznych z dziejami politycznymi. Co do objętości, winna obejmować dziesięć do piętnastu arkuszy druku.

Prace opatrzone godłem należy nadesłać pod adresem Prezesa Tow. Prof. D-ra Stanisława Zakrzewskiego we Lwowie ul. 29 Listopada, L. 39, i dołączyć kopertę opatrzoną tym samym godłem, a kryjącą nazwisko i adres autora.

Wydział T. O. L. naznacza za najlepszą pracę nagrodę 500 K., druga nagroda wynosić będzie 300 K. Autor pracy przeznaczonej do druku otrzyma nadto honorarjum po 30 K. od arkusza.

Ponieważ prof. Jan Friedberg wystąpił ze sądu konkursowego, przeto sąd ten składać się będzie z następujących osób: Prezesa T-wa Prof. D-ra St. Zakrzewskiego, Wiceprezesa X. D-ra Prof. Jana Fijałka; członków Zarządu: Pani Marji Aleksandrowiczówny i p. Piotra Zdeka. Nadto uproszono do sądu: Panią Marję Reuttównę i p. St. Rymara z Krakowa. Sądowi konkursowemu zastrzega się prawo kooptacji.

We Lwowie, w lipcu 1909 r.

Za Wydział T-wa Oświaty Ludowej we Lwowie:

Prof. D-r Jan Fijałek m. p. Prof. D-r St. Zakrzewski m. p.
Wiceprezes. Prezes.

WOLNE GŁOSY.

—

(W rubryce tej zamieszczamy poglądy i zasady różnych kierunków, nie biorąc za nie odpowiedzialności). *Redakcja*

Katolicyzm Mickiewicza i Słowackiego.

Kwestja na czasie...

Zaroiło się od oskarżeń, pośmiertnych klątw, dokumentów z jednej i drugiej strony... Wszystko dokoła tego jednego zagadnienia: czy Słowacki był katolikiem czy heretykiem i czy z tego punktu widzenia należałoby mu się miejsce w grobach Wawelu.

Niema zgody nawet między dygnitarzami tego samego kościoła, który rozsądzać dziś chce prawomyślność twórcy „Króla-Ducha"... Jeden przeciwko drugiemu wytacza, jako rozstrzygający—moment zgonu, w którym poeta miał jakoby zmazać grzech odstępstwa... A (jak zawsze) znalazła się też niepowołana obrona: Oto dla umniejszenia zbrodni katolickiego zgonu fanatyzm wolnomyślicielstwa pragnie rzekomą „zgodnością wszystkich świadectw" dowieść, że Słowacki nie władał pełnie sobą w ostatnim roku życia, czyli że był... niepoczytalny.

Tak ci i tamci ani rusz pozbyć się nie mogą własnych dogmatyzmów i starając się przeniknąć wolnego ducha, wciskają go w ciasnotę swoich poglądów, a w razie potrzeby bez ceremonji obcinają głowę...

Dlatego dobrze będzie rozpatrzeć choćby tylko w najistotniejszych punktach stosunek wiary religijnej Mickiewicza i Słowackiego do kościoła.

Mniejsza (w danym wypadku) o różnice indywidualne. Ale to fakt, że jeden i drugi, zapytany wprost, odpowiedziałby bez wahania: *Jestem katolikiem!*

Może to być dla niejednego dzisiaj nawet bardzo przykre — ale przecież nieznajomością byłoby tego nie wiedzieć, a niedorzecznością, nie uznać.

Więc —

Jednakże powoli!...

Prawda, że Mickiewicz uważał się zawsze za wiernego syna kościoła a Słowacki (od czasu, kiedy wogóle wszedł w sferę życia i idei religijnych) mówił o kościele, jako o aniele, którego nie śmierci pragniemy, lecz odrodzenia (słów w tej chwili nie pamiętam). Prawda, że Mickiewicz stolicę apostolską uważał zawsze za najwyższe ognisko widomej władzy duchowej a poczęcie Legjonu w Rzymie przedstawiał jako „służbę dla sprawy przed tutejszym Urzędem".. A kiedy przejdziemy myślą ideje mistyczno-religijne Słowackiego w pismach jego z lat ostatnich, znajdziemy wyraźne usiłowanie dowiedzenia, że one wszystkie są zgodne z podstawowymi pojęciami Kościoła powszechnego.

I chociaż Mickiewicz i Słowacki (ten jeszcze jaskrawiej) gromili kler faryzejski, nie w tym rzecz; nie w tym — nawet wedle wymagań samego Kościoła — istota stosunku do katolicyzmu. Rozstrzyga samo *poczucie ścisłej łączności*, odrzucenie nawet myśli o zerwaniu, doszukiwanie się i wskazywanie poza skorupą najpiękniejszego, zdrowego jądra.

Nie piszę wyczerpującego studjum, dlatego wolno mi, zamiast cytat źródłowych, odesłać tylko każdego nieuprzedzonego do pism i życia — zwłaszcza

---

Togorma widział wówczas, jak syny Enocha
Zbiegły się niezliczone, jak mrowie, w wzburzeniu —
Na wieże i na mury — w jednym oka mgnieniu,
Aby spojrzeć na dziada, który powstał z procha
I stał w grobie—i marzył w głębokim milczeniu.

A bestje wciąż ryczały w nienawiści dzikiej,
A rumak—z nozdrzy krwawym buchając płomieniem—
Łamał palmy, jak trzciny liche nad strumieniem,
A wielki rycerz, strażnik Gehenny — swe krzyki
Grobowe — łączył z bestji stugwarnym ryczeniem.

Ale potężny człowiek nad swej truny złomem
Wyciągnął sękowate ramię w noc — i oto
Uszy bestji ryczących napełnił głuchotą —
I mówił głosem wolnym, wielkim — niby gromem,
Który wichry z ech w echa w dzikie puszcze miotą.

— „Kto mię budzi w tym mroku bez wyjścia, gdziem [długo,
Gdziem tysiąc lat spoczywał nieruchomy — zimny?
Czy to młodzian z Hebronu, który śpiewał hymny
Powtarza pierwszy okrzyk śmierci pod maczugą?
Czy powalony ołtarz zahuczał tu dymny?

O ucisz się ty, jęku, co uderzasz w skalne
Głazy mojej mogiły, gdziem spał rozciągnięty!
Żywemu dość mi w uszach wrzały te lamenty!
Zamilknij! Co się stało — to nieodwołalne!
Czuwałem — zasłużyłem na ten sen przeklęty.

(D. N.)

z okresu mesjanicznego od (1842 r). I mniejsza o to, co sobie kto o tym okresie myśli, w każdym razie ta właśnie faza rozwoju Mickiewicza i Słowackiego rozstrzyga o ich stosunku do religji i kościoła.

Otóż to wszystko, co stwierdziłem wyżej, jest prawdą, którą tam sobie łatwo odczytać można. Na zarzut, który Słowacki przewidywał, że „heretykami jesteśmy, niszczymy katolicyzm" i t. p. odpowiada sam: „... i rozśpiewamy powietrze duchem bożym, aż *obudzi się Kościół i wystąpi, jako wódz nasz nieśmiertelny*"...

Czyż ludzie, którzy tak wierzyli, mogli sobie choćby wyobrazić, że umrą nie po katolicku? Przyjęcie ostatnich namaszczeń (nawiasem mówiąc, jednego z najpiękniejszych symbolów łączności między życiem *tu* a *tam)* było dla nich koniecznością psychologiczną, z najwewnętrzniejszych płynącą źródeł.

A jednak—

Proszę zważyć, że w tym wszystkim niema ani kropli wody na młyn tych, którzyby powoływać się chcieli na katolicyzm Mickiewicza i Słowackiego, jako na wzór i przykład dla nas wytrwania przy Kościele.

Zachodzi tu bowiem głębokie a ważne nieporozumienie:

W języku mesjanizmu polskiego Kościół i katolicyzm znaczyły zgoła co innego niż w oficjalnym narzeczu katolickim. Wystarczy zestawić najbardziej zasadnicze pojęcia i obrazy religijne z obu stron, aby dojść do przekonania, że niema w nich, poza znakami słownymi, *nic a nic wspólnego.*

Powtarzam tu tylko, co już gdzieindziej wykazałem obszernie i (jak sądzę) dobitnie: Najważniejsze podstawy organizacji kościelnej zostały przez mesjanizm polski zachwiane i złamane. Jeśli Kościół twierdzi, że o należeniu do katolicyzmu rozstrzygają władze jego aż do najwyższej i tu już bez apelacji, bo nieomylnie, to właśnie Towiański (a on jest w tej dziedzinie źródłem istotnym) rozróżnił w całości t. zw. *Kościół urzędowy,* i odsądza go od łączności z prawdziwym *Kościołem powszechnym.*

Gdzież więc autorytet, gdzie probierz prawomyślności?...

Kanon soboru trydenckiego przenosi wyraźnie całą wagę kwestji w spełnianie przepisanych form i obrzędów, i powiada, że do kościoła należą źli i dobrzy, byle „tych samych sakramentów uczestnicy". Natomiast wyłącza stanowczo wszystkich, choćby najpodnioślejszych w duchu i życiu, jeśli nie w ten sam sposób wierzą, jak głoszą wymagania kanonu.

Słowem, wedle nauki oficjalnej, Kościół katolicki jest społecznością, opartą na ściśle określonych dogmatach i formułach obrzędowych. Tymczasem mesjanizm przerzuca węzeł w głąb duszy i mówi o Kościele obejmującym cały „ten i tamten" świat, o Kościele „na niebiosach i w sercach na ziemi", o tym Kościele, który „jest jeden jako jedno jest Słowo Boże"...

Z takiego Kościoła — *człowiek sam tylko może się wyłączyć,* a żadna władza nie ma mocy uznać go lub wykląć...

Przyznajmy, że rozbicie władzy decydującej jest już rozbiciem samej organizacji. A dopiero odjęcie wszelkich widomych oznak przynależenia jest absolutnym unicestwieniem całej społeczności. Towiański mówi wyraźnie, że Kościół jest „często w formach, w odzieży i pod nazwami,którymi świat gardzi"—a niema go „pod formami i nazwami, którym świat cześć swoją *jako Kościołowi* składa"...

Cóż więc zostaje z tego Kościoła, który na to, aby być tym, *czym być musi,* potrzebuje ścisłych określeń, wyraźnych odgraniczeń, widomej hierarchji i t. d. i t. d?...

I czyż dziwić się można, że tego rodzaju wierzenia i pomysły religijne Kościół zwalczać musi z całą bezwzględnością *koniecznej samoobrony?* Bo ateista, wolnomyśliciel i t. p. — to wróg wyraźny, dla wierzących tym wyraźniejszy, że zgoła innym przemawia językiem. Ale ci ludzie, powołujący się na to samo, źródło, używający tych samych słów na określenie tak różnych dążeń i pragnień — oni właśnie stanowią obóz najgroźniejszy, najtrudniejszy do zwalczenia, a najgłębiej niszczący.

Słowacki mówił o Kościele, do którego „drzwi zamkniętych przyszliśmy z palmami wiosennymi zapukać" — ale na linji tego Kościoła umieszczał obok Franciszka z Asyżu heretyka Jana Husa, zupełnie o katolicyzm niepodejrzanego Lutra i tak tworzył społeczność ludzi wolnych, o swobodę ducha wojujących, po wyżynie natchnień bożych do samego dążących Boga.

Taka jest w wykładzie mesjanicznym *powszechność* Kościoła, czyli katolicyzm. W dzisiejszym, potocznym sensie katolicyzm jest nawet w nazwie uzurpacją — mesjanizm chciał go wynieść poza obręb wszelkich szrank i ani się nie spostrzegł, jak mu *się rozwiał w ramionach...*

Dlaczegóż tedy rozłam ten w pojęciach i dążeniach nie miał odpowiedniego wyrazu nazewnątrz?

Gdyby to byli inni ludzie, możnaby pomyśleć o kompromisie, braku odwagi lub czymś podobnym. Tu oczywiście powody są inne.

Towiański — jak wszyscy podobni mu „nauczyciele ludzkości" — nie wypowiadał wszystkiego. „Na dziś dość wam tyle, więcejbyście znieść nie mogli"...

Sam uważał się tylko za męża *drugiej* epoki chrześcijańskiej i odsłaniał tylko tyle, ile na nią było przeznaczone, choć niewątpliwie dalsza przyszłość widniała mu przed oczyma...

Poza tym — tradycja. Siła, wrastająca w serce bezlikiem drobnych, drobniutkich korzonków...

Wreszcie — poezja, owiewająca w tylu szczegółach symbolikę i liturgję katolicką. Całe, niezaprzeczone *piękno* katolicyzmu, które dla tylu mistrzów było natchnieniem dzieł wiecznotrwałych.

Te to czynniki uczuciowe trzymały tamtych w związku z Kościołem, trzymają i dziś wielu jeszcze, którym sam duch Kościoła obcy jest i nienawistny. Bywają złudzenia, które trudno jest ocenić rozumem, a dopiero wniknięcie w kontrastowe życie wewnętrze pozwala je odczuć i pojąć.

Otóż mesjanizm był w stosunku do Kościoła to jako syn do matki, której nie może porzucić, choć nad jej zacofaniem boleje — to znów (bodaj częściej) jako matka do ukochanego dziecięcia, którego wady wszystkie widzi i karci a czeka, ciągle czeka poprawy.

Zdawało się naszym mesjanistom, że przecież kiedyś obudzić się musi całe to piękno, zagrzebane pod gruzami śmiecia i nawozu...

Nie widzieli (przynajmniej nie zawsze i nie dość jasno), że te gruzy stanowią właśnie indywidualność organizacji kościelnej; że to, czego oni pragnęli, musi się wypaczyć z chwilą, kiedy wejdzie w obręb Kościoła, tego czy innego. Słowem nieporozumienie całe tkwiło w tym, że tu *sam fakt istnienia Kościoła* był tym, przeciwko czemu powinni byli wystąpić w imię swych upragnień. Na wyżynie, na której oni umieszczali swoją *powszechność wiary z ducha i dla ducha,* nie mogło być miejsca dla *wyłączności*—a wszak ta jest niezbędną cechą Kościoła.

Mesjanizm dochodził nawet do bardzo stanowczych, bezwzględnych oskarżeń:

„Kościół obecny" — pisze Towiański wprost do papieża — „doszedł już do tego stopnia upadku, że przestał być Kościołem Chrystusa Pana, tą niebieską budową jego, tym królestwem niebieskim i że zachowawszy tylko formy Chrystusa i martwą literę prawa jego, stał się budową ziemską, królestwem ziemskim, rządzonym przez ducha przeciwnego Chrystusowi"...

Ale cóż z tego, kiedy w samym tym wyrażeniu „Kościół *obecny*" zaznacza się już wiara, że jakikolwiek *przyszły* może być lepszy...

Stąd to mesjaniści Polacy nie stworzyli *innego języka* w dziedzinie pojęć religijnych, tylko posługiwali się zwiędłymi już znakami i dali tym następnym pokoleniom powód do dalszych, trwałych nieporozumień...

Andrzej Baumfeld.

BADANIA NAUKOWE.

Alfred Fouillée o Polakach.

Jeden z ciekawszych umysłów francuskich, twórca teorji ideo-sił, którą rozwinął w znakomitym swoim dziele „La psychologie des idées forces", przenikliwy krytyk systemów etycznych, wybitny filozof, Alfred Fouillée niezaprzeczenie był dobrym synem swojej ojczyzny. Nie zadawalając się tym, że tworami swego umysłu zbogacał francuską myśl filozoficzną i w ten sposób oddziaływał na wypadkową kultury Francji, postanowił poświęcić się działalności pedagogicznej w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu.

Dostrzegł on mianowicie błąd, tkwiący we francuskiej polityce zagranicznej, a polegający na tym, że współrodacy jego prócz przysłowiowej u Francuzów ignorancji gieografji, zdradzają duże niezrozumienie psychologji narodów, właściwie narodów-państw, z którymi w bliższe stosunki polityczne wchodzić są zmuszeni; szczególniej polityka drugiego cesarstwa dała mu dużo do myślenia. Chcąc zapobiec błędom w przyszłości postanowił Fouillée (tylko li względy wychowawcze mając na celu) oświecić rodaków i rezultatem tego postanowienia była książka, wydana u Alcana p. t. „Esquisse psychologique des peuples européens" (drugie wydanie w r. 1903). Fouillée, pisząc swą książkę, Francuzów jedynie miał na widoku; obawiał się, że, ulegając przyrodzonej sobie skłonności sądzenia innych podług siebie, nie pójdą za rozsądnym zdaniem Bismarcka, które on, Fouillée, za motto swej książki użył: „należy znać charaktery narodów zarówno jak ich cele". Znajomość charakterów narodów, zarówno jak ich celów nieodzowną jest, by wiedzieć o kogo dbać należy, a kogo unikać; z kim zbliżać się aż do *entente cordiale*, z kim pozostać na stopie platonicznego zapewniania o niewygasłej nigdy przyjaźni narodu francuskiego, a kogo nie znać zupełnie, zapomnieć o jego istnieniu. Bo i na cóż zdało się wiedzieć cośkolwiek o narodach, które, nie stanowiąc państwa, są np. „składową częścią różnolitej *narodowości* austryjackiej"?

Wychodząc z tego założenia, autor, wbrew swemu określeniu narodu jako zbiorowiska ludzkiego, za naród uważającego się, nie zajmuje się w swym dziele narodami; interesują go natomiast wyłącznie państwa, a z pośród nich najwięcej poświęca uwagi tym, które jako t. zw. wielkie mocarstwa decydujący wpływ na polityczne losy Europy wywrzeć mogą. Jedynie Grecji nowożytnej, zapewne w skutek wrodzonego Francuzom poszanowania dla kultury klasycznej, jako specjalnie prarodzicielki kultury francuskiej, poświęca autor kilka kartek, zdobywając się nawet na proroctwo, że stanie się ona spadkobierczynią starej Grecji, byleby się ustatkować chciała i przyjść do rozumu. Dobrych rad Fouillée nie szczędzi nowej Grecji i tym więcej w przyszłość jej świetlaną gotów jest uwierzyć, że jak twierdzi, Grecja francuzieje coraz bardziej.

Najwięcej miejsca poświęca Fouillée w swej książce Niemcom, tym naturalnym wrogom Francji; trochę mniej Anglji, Rosji, Włochom i Hiszpanji; Austrji zaś, Szwajcarji, Holandji, Belgji i krajom Skandynawskim razem kilka kart zaledwie, z których tyleż dowiedzieć się można, co ze szkolnego podręcznika gieografji.

Autor, będąc, jak Taine, zwolennikiem ciągłości, rozróżnia dwa pierwiastki, które na psychologję narodu w danej chwili się składają: jeden — charakter wrodzony, a więc wypadkowa rasy i wpływu środowiska fizycznego — czynnik psycho-fizjologiczny, drugi zaś, czynnik psycho-socjologiczny — historja narodu, jego rozwój wewnętrzny, uwarunkowany przez dobór socjalny. Rozważając narody europejskie z punktu widzenia rasy, uznaje autor, że żaden z pośród narodów europejskich nie jest obarczony dziedzicznie przez upośledzenie rasowe, — przeciwnie, wszystkie jednakowo są zdolne do najwyższego rozwoju intelektualnego i społecznego. Tak chce założenie autora.

Przyjrzyjmy się sobie w oświetleniu autora. Otóż, właściwie mówiąc, niema nas. Fouillée wie coś nie coś o nas, a w imię jego zasady użyteczności tyle tylko o nas Francuzowi wiedzieć należy (by snadź w skierowaniu sympatji nie pobłądził), że primo: jako naród austryjacki wnosimy waśnie i rozterki do tego narodu i zapomnieliśmy się tam, w Austrji, do tego stopnia, że prawem kaduka „zagarnęliśmy" dla siebie uniwersytety krakowski i lwowski; secundo, jako Słowianie, ośmieliliśmy się, wbrew uzasadnionym. uznanym i przedyskutowanym prawom „narodów", przypisać polskość Kopernikowi! Wogóle, mówić o gienjuszu słowiańskim, to karmić się mrzonkami: wszystko, czym Słowianie poszczycić się mogą, jest niezaprzeczenie wytworem ducha giermańskiego, dla którego Fouillée czuje respekt specjalny do tego stopnia, że Francuzów, wbrew dawniej utartym mniemaniom, wprost od giermanów wyprowadza. Huss, Kopernik, nawet Tołstoj—toż to zesłowiańszczeni Niemcy — nic innego.

Zapyta czytelnik słusznie, co nas obchodzi w takim razie książka p. Fouillée, z której tak mało dla nas korzyści? Nie obchodziłaby nas ona wcale, darowalibyśmy ją bratniemu narodowi francuskiemu, gdyby nie to, że została ona na język polski przełożona, przyswojona naszej literaturze. [1]) Ten fakt, że właśnie to, a nie inne dzieło Fouillée'go zostało przetłumaczone nasuwa refleksje ogólniejszej natury.

Nader pożyteczną rzeczą jest przyswajanie literaturze ojczystej arcydzieł literatury ogólno-europejskiej, należy sobie jednak zdawać dokładnie sprawę, jaką dane dzieło posiada dla nas wartość, czy rzeczywiście jest to opus, czy też tylko opusculus, czy nie zwiększamy naszej przeciętności przez przeciętność importowaną. Francuska literatura filozoficzna posiada dzieła niezaprzeczenie większej wartości niż omawiana książka Fouillée. Czy mamy coś Boutroux, albo choćby tegoż Fouillée, prócz sprawozdawczego studjum o M. Guyau? Czy nie lepiej byłoby usunąć, stojące przy każdym nieomal tytule w Bibljotece filozoficznej kasy Mianowskiego, słowo „wyczerpane"? Czy nie lepiej wydać po raz drugi „Krytyki czystego rozumu" w tłumaczeniu Chmielowskiego, niż dziennikarsko-patryjotyczny elaborat Fouillée? Jeżeli koniecznie chodziło o to właśnie dzieło, to choć zasadniczo przeciwny jestem rozczłonkowaniu dzieła na fragmenty, czy nie lepiej było opuścić pierwsze 472 str. i dać szkic socjologiczny narodu francuskiego, jako oddzielną całość, rzecz istotnie mogącą nas zaciekawić?

Nie jesteśmy narodem bogaczów, ale rozrzutników. Zamiast dążyć w pracy po linji maximum wydajności, przy minimum strat, pozwalamy sobie na wydanie książek o 573 str., książek, obrażających nieraz prawdę, podczas gdy na wydanie prac oryginalnych środków niema.

W książce, jak powiedziałem, obrażono nas. Jest to niezaprzeczenie jedna z zalet tej książki. Zda-

---

[1]) Alfred Fouillée: Szkic psychologiczny narodów europejskich. Tłumaczyła Władysława Zarembina. Warszawa, nakład Orgelbranda.

nie to brzmi paradoksalnie, jednak paradoksem nie jest.

Po każdej katastrofie dziejowej, które na nas spadały, przedewszystkim zdobywaliśmy się na apelacje do sprawiedliwości ludów Europy. Pisaliśmy manifesty do ludów, papieży, monarchów, nawet rządów, wierząc, że w imię sprawiedliwości prawa nasze muszą być za słuszne uznane. Opinja Europy, szlachetnej Europy, często wydawała wyrok dla nas przychylny, ale egzekucję tego wyroku skwapliwie składała w nasze ręce, no i do egzekucji nie przychodziło. Odkąd przestaliśmy wierzyć w sprawiedliwość Europy, staliśmy się wszecheuropejskimi plotkarzami, uwiadamiając opinję publiczną za pomocą ankiet, że Niemcy a niesprawiedliwość to jedno Opinja ogólnie europejska godziła się z nami najzupełniej, bo i cóż komu mogło zależeć na proteście, kiedy przez nic nie kosztujące, platoniczne wzięcie w obronę interesów „ubogiej Polski" dokumentowało się niezależność i szlachetność ducha.

Przejrzyjmy pisma nasze. Co tydzień jakaś korespondencja. Pan X w rozmowie z p. Y użył wyrazu Polska; w Paryżu odbyła się konferencja, na której mówiono o Polsce (nieszczęśliwy czytelnik nie wyobraża sobie, jakie wogóle bywają konferencje w Paryżu i o czym się na nich nie mówi?); niedawno jedno z pism nie wahało się podać urywka z listu, w którym ktoś „z Europy" wyraził się: „ta biedna Polska". Wolimy wiedzieć o tym, że nas jak żebraków traktują, cieszyć się z tego, że jakiś bulwarowy autor w swojej powieści prostytutce o Polsce androny bajać każe (feljetony się o tym pisze — epoka!), niż, zrezygnowawszy z litości Europy, na dumną zdobyć się samodzielność i we własne siły uwierzyć. Piszemy manifesty do obcych, a zapominamy, żeśmy dla siebie narodem wybranym i że od nas zaczynać i na nas kończyć powinniśmy. Czy przypominamy naszemu społeczeństwu ciągle imiona tych, którzy w polski i tylko polski gienjusz wierząc, od nas samych dla nas sprawiedliwości wyglądali?

Książka Fouillée przez to, co jej autor o nas wiedzieć chce i co swoim rodakom o nas do wiedzenia podaje, powinna otrzeźwiająco wpłynąć na czytelnika. Może, częściej rozczytując się w podobnych dziełach, odwrócimy oczy od Europy jako wybawicielki a zwrócimy je na siebie samych, poczniemy liczyć na własne nasze siły i *tylko* własne z wiarą w to, że ten tylko sprawiedliwość uzyskuje, kto sam ją sobie wymierza.

Jan Grabowski.

LITERATURA i SZTUKA.



Wrażenia artystyczne.

Paryż, Lipiec.

Zwiedzając „Salony i secesje" niemieckie przychodzi się do przekonania, zresztą bardzo prostego, że tylko Francuzi malować umieją, że bądź co bądź tylko oni są prawdziwymi artystami. Nietylko przodują w technice, ale ich sposób widzenia, pojmowania, odczuwania natury i plastycznego jej wyrażania jest najbardziej subtelny i im właściwie oryginalny. Oni torują sztuce nowe drogi dla dalszego jej rozwoju, gdy inni, Niemcy i nie Niemcy, owczym pędem wślad za nimi podążają, przejmując najczęściej zewnętrzne strony techniki, przesadzając jej wady i ułomności.

Nie należy jednak sądzić, pomimo wielkich zalet, jakie cechują sztukę francuską, że obadwa wielkie „Salony", które dopiero co zamknęły swoje podwoje, przepełnione były arcydziełami. Bynajmniej; były one tylko dokładnym odbiciem przeciętnej produkcji wykonywanej na sprzedaż, wystawą prac artystów, którzy doszli do uznania, odznaczeń, powagi pleśnią pokrytej owych „Hors concours" albo „Sociétaires", z prac których przeważnie obie te wystawy się składają. Dzieł, które odznaczały się świeżością, oryginalnością nowości, młodością mającą wszelkie dane dla wielkiego rozwoju, było niewiele. Takie nowoczesne twory, tchnące powiewem rewolucyjnym, oglądać można tylko w Salonie jesiennym, albo na wiosnę u Niezależnych. Jednak wpływ impresjonistów, a bardziej jeszcze Cezanne'a, już silnie się zaznaczył, szczególnie w dziełach wystawionych w Salonie Champ de Mars.

Kierunki tak zwane nowe, rozwijając się szybko ulegają ciągłym przemianom, jakie ze sobą wnoszą nowe pokolenia, nowe młode siły; rozwój ich jest niezmiernie ciekawy, cel wzniosły, drogi i środki nader rozmaite, ale wszystko, co dotychczas tworzą, nosi na sobie charakter przejściowy, widać usiłowania wszelkich poszukiwań, rezultat których bynajmniej nie jest banalny, ale niezawsze zadawalający. Obok rzeczywistych usiłowań opartych na szczerości widzieć się dają prace traktowane z rozmysłem, bijącym na oryginalność, pełne zwykłej blagi, pour épater le bourgeois. Takich jest bardzo dużo, i przeważnie wykonywanych przez różnych cudzoziemskich artystów, Paryż zamieszkujących.

Walka pomiędzy młodymi a starymi staje się coraz bardziej zaciętą. Nie o sztukę już tutaj idzie ale wprost o istnienie materjalne, o kawałek chleba. Szyderstwa i wyśmiewania się z tak zwanych nowych kierunków utraciły swoją moc i znaczenie; odrzucanie dzieł z Salonów mija się z celem, młodzi mają swoje i nie dbają o specjalne wystawy starych. Nie zakupują ich dzieł do państwowych galerji i muzeów, wchodzą tam jednak przemocą, jako dary. Publiczność poczyna się do nich przyzwyczajać, poczyna kupować ich prace z ciekawości, przez snobizm, albo już nawet i przez uznanie.

Szczególniej zagranica, głównie Niemcy i Rosjanie, popierają nowe usiłowania, nowe talenty, przez co wielu już starych, tak zwanych „mistrzów", utraciło swoje znaczenie, a co dla nich gorsze, rynek zbytu dla swoich produkcji A produkcja ta jest szalona. Oba wielkie Salony wystawiają corocznie kilkanaście tysięcy dzieł, różne inne Salony i prywatne wystawy również kilka tysięcy, i nie wiadomo gdzie olbrzymia ta masa się podziewa, co się z tą produkcją pędzla czy dłuta dzieje. Raz widziane na wystawach znika to wszystko z oczu, i jak obecnie coraz to bardziej zapełnia pracownie samych producentów, lub składy handlarzy obrazów.

Europa wytwarza conajmniej sto tysięcy dzieł artystycznych rocznie, liczba artystów zwiększa się ogromnie, poziom artystyczny mas nie zwiększa się jednak, amatorów liczba nie jest odpowiednio duża, muzea i galerje część tylko produkcji są w stanie zakupić, olbrzymia więc masa dzieł pozostaje w pracowni na zawsze lub na długo, trudność zbycia jest coraz to większa, i liczba proletarjatu artystycznego rośnie coraz to bardziej z przerażającą szybkością.

Patrząc na te prace, na te usiłowania najczęściej niewielkiej wartości, mimowoli stawia się pytanie, na co i po co to wszystko? Setna część z całej tej produkcji, ale składająca się z dzieł dobrych, umieszczona w galerjach publicznych zawsze otwartych do zwiedzania, przyczyniłaby się bardziej do rozwoju smaku i podniesienia poziomu artystycznego mas, aniżeli przepełnione Salony, lub takież przepełnione wystawy państwowe.

Wystawy paryskie cierpią właśnie na takie przepełnienie. Galerja Luksemburska mieści w sobie zaledwie część dzieł malarskich jakie posiada, ogromna masa leży umieszczona w piwnicach. Rzeźby w niej są tak ustawione blizko siebie, że trudno się przecis-

nać pomiędzy statuami, a niema żadnej możności ich dokładnego obejrzenia. Obrazy są rozwieszone w kilku rzędach jedne po nad drugimi, przyczym złe światło przeszkadza by je dobrze widzieć można było. A więc to muzeum zamiast być rozsadnikiem piękna jest tylko przepełnionym składem dzieł różnej wartości.

Nie jest tak przepełnionym muzeum w Petit Palais des Beaux-Arts, a znajdująca się w nim kolekcja rysunków i grawiur na wielką zasługuje uwagę.

W Luwrze sztuka XIX stulecia zajmuje sal kilka ale rozrzuconych, nie razem się znajdujących. Wogóle Luwr pod względem porządnego, systematycznego urządzenia pozostawia dużo do życzenia. Na trzecim piętrze w paru salach znajdują się wspaniałe okazy krajobrazów francuskich, z owej szkoły w Barbison, a szczególniej piękne są tam dzieła Corot'a.

Pewne naogół zmiany zaprowadzono w urządzeniu muzeum w Luwrze. Dawny „Salon Carré" posiadał najwspanialsze dzieła różnych szkół rozwieszone na swoich ścianach, obecnie są tam tylko Francuzi i Włosi i jeden portret Velasqueza. W wielkiej galerji zaprowadzono podziały na różne narodowości, co pozwala dokładniej i łatwiej przestudjować rozwieszone tam dzieła. Jest to więc duży krok naprzód w uporządkowaniu tego arcybogatego muzeum. Na nieszczęście panuje tutaj system kolekcji, Luwr przeto nigdy, albo nie prędko zostanie zupełnie racjonalnie i systematycznie urządzony. Przepyszne to muzeum składa się przeważnie z darów prywatnych [1]), a prawie każdy zbieracz stawia zwykle za warunek, aby kolecja do niego należąca stanowiła nierozdzielną całość i dla tego w różnych salach widzimy obrazy i wszelkie inne dzieła sztuki, bronzy, meble, tkaniny i t. p. które mogłyby służyć do uzupełnienia głównych zbiorów i przyczyniłyby się przez to do lepszego i dokładniejszego pojęcia o całości, a tymczasem znajdują się rozrzucone wszędzie potrosze.

Naogół muzea paryskie nie są urządzone dla poważnych studjów, lecz tylko dla oglądania. A zwiedzają je masy ciekawych, ogromne swą liczbą. Naogół są to zwykli turyści podróżujący pojedyńczo albo „stadami", oprowadzani przez specjalnych przewodników, pokazujących im niektóre obrazy lub dzieła sztuki, objaśniając je stereotypowo i zwykle fałszywie. Największe takie „stada" tworzą Anglicy.

Patrząc na takie zbiorowisko kilkudziesięciu osób biegnących od jednego obrazu do drugiego, lub od jednej rzeźby do drugiej, przechodząc obok najciekawszych dzieł sztuki bez wiadomości nawet o ich istnieniu, słuchających „z otwartą gębą" głupich objaśnień nieinteligietnych przewodników, mimowoli powstaje pytanie: po co ci ludzie wydają swe pieniądze, nic prócz zmęczenia i nudy wzamian nie otrzymując?

Spotykają się jednak dość znaczne grupy oprowadzane przez specjalistów, którzy słuchaczom swoim wykładają historję sztuki, objaśniając ją wprost na oryginalnych tworach; krótki taki kurs jest tutaj urządzany obecnie na czas letnich miesięcy, głównie dla przyjezdnych.

Szczęśliwy profesor, który wykłada mając oryginały przed sobą i szczęśliwi słuchacze! Zazdroszczę jemu i im.

Wincenty Trojanowski.

A. Szech: 1) **Katolicyzm a polskość**, 2) **O całość duszy ludzkiej.** — Warszawa 1909.

A. Szech jest raczej mówcą niż pisarzem i rozprawy jego mają charakter przemówień pisanych. Treść ich jest bogata i płodna, oddana szczerze i z apostolskim zapałem, co wszystko świadczy o zasadniczej wartości jego rozpraw. W istocie to, co nas uderza przedewszystkim w pismach Szecha, to nie styl, ale piękność duszy autora. Dla tej piękności — pisma te mają znakomitą wartość.

W pierwszej p. t. *Katolicyzm a polskość* — autor rozważa wmówiony przesąd, że polskość nie istnieje bez katolicyzmu, choć historja świadczy raczej, że wszystko, co było w Polsce wyższym, było akatolickim, począwszy od heretyka Reja a kończąc, a właściwie nie kończąc, na „heretyku" Słowackim. Szech jest człowiekiem *par excellence* religijnym—i właśnie na tle tej skłonności religijnej obudziła się w nim niechęć do katolicyzmu, który od dawna już przestał być „wodą twórczego żywota" a stał się martwą i śmierć ducha przynoszącą formułą. Przeciwieństwo między słowami ewangielji Chrystusa — a scholastyką dogmatów katolickich — jest dla niego motywem, co go doprowadza do wniosku, że katolicyzm przestał być religją. Jest on organizacją, chytrze zbudowaną, zachłanną i dążącą do opanowania świata, zwłaszcza tam, gdzie znajdzie dusze miękie jak wosk, łatwo podatne do uległości — rzekomo mistycznym, w istocie zaś czysto ziemskim tendencjom. Taki wosk kościół znalazł w duszach polskich—i przygniótł je, wyssał, wycisnął, wyjałowił.

Jako motto podał A. Szech słowa Juljusza: — *Zguba twoja w Rzymie!* i całe dziełko Szecha ma — nie protestancki, ale anti-rzymski charakter

Uzupełnieniem tej rozprawy jest druga: *O całość duszy ludzkiej.* — Zwalczając dogmat, autor nie zapomina, że element religijny zawiera w sobie siłę, przez księży zwykłe przeoczaną, siłę istotną religji: poczucie nieskończoności. Człowiek jest człowiekiem o ile nie zatraca poczucia nieskończoności, o ile pamięta o związku swoim ze wszechbytem: wtedy jest nieśmiertelny. Tymczasem wychowanie współczesne—jak w religji zaprowadziło suchą katechetykę, nic wspólnego nie mającą z bóstwem i nieskończonością, tak i w naukach wogóle pomija element wyższy i pogrąża się w *realiach.* Autor bardzo słusznie woła, aby te *realia*, które zacieśniają nasze dążenia do najbliższych spraw i interesów, nie stały się przeszkodą do istotnego rozwoju człowieka. Intelekt się doskonali, zmysł walki o byt podnieca, świadomość czuwa, ale wyższe pierwiastki ducha: odczucia metafizyczne i to wszystko, co stanowi istotę człowieczeństwa — są w nowszym wychowaniu pomijane. Przeciw tej niezupełności powstaje autor i wzywa, aby wychowawcy nie zapomnieli o tym, co stanowi *całość duszy ludzkiej.* Zdaniem A. Szecha—nie w kościele katolickim jest rdzeń tej całości. *A. L.*

Stefan Gacki: **Stienka Razin.** Poemat w I-ym akcie, str. 22. Warszawa r. 1909.

Stienka Razin jest znany z historji Rosji, jako poprzednik „buntowszczyka" Pugaczowa. P. Gacki za temat do swojego poematu wybrał osobę Razina, by wykazać w Razinie walkę między obowiązkiem względem towarzyszy a obowiązkiem względem kochanki, Zaremy. Obowiązek względem towarzyszy jest obowiązkiem względem całej Rosji, bo—jak powiada Wasyl:

I głosy nam się w jeden chór splotły
Grzmiał okrzykiem: „Precz z Moskwą, z carem!"
Gięły się głowy, jęczały kotły,
Kraj się miał świętym zająć pożarem
I wielkie jutro, jutro swobody
Tak się nam wszystkim zdawało blizkim,
Że łzy kapały na siwe brody,
A oczy młodych z ufności błyskiem
Patrzały w przyszłość...

Widzimy więc, że piękna Zarema zatrzymując przy sobie Stienkę, zatrzymuje zbawcę, bohatera. Kon-

[1]) Są tam i dary polskie, pochodzące przeważnie ze zbiorów hr. Tyszkiewicza i hr. Potockiego.

flikt rozwiązuje się na niekorzyść Zaremy — Stienka bowiem uchodzi. Niektóre miejsca poematu tchną rzewnym liryzmem:

A kiedy sen mi powieki sklei
Weź mnie na ręce, jak dziecko chore
Zbłąkane nocą wpośród zawiei,
Przytul do siebie i odpędź zmorę
Od mojej głowy.

Ustęp ten świadczy o szczerym talencie lirycznym p. Gackiego. Jakimi drogami pójdzie i jakie plony przyniesie, przyszłość pokaże.

E. Czekalski.

Aleksy Kurcyusz: **Zarys dziejów przedhistorycznych**. Warszawa wyd. *Myśli Niepodległej* 1909 r.

W sposób niezmiernie przystępny i jasny p. Aleksy Kurcyusz przesuwa przed czytelnikiem przedhistoryczne dzieje ziemi i ludzkości. Każdy z pewników, jaki podaje, uzasadnia rzeczowo, wykazuje metody poznania, którymi posługiwali się uczeni przy odkryciu tych prawd. Praca p. Kurcyusza zasługuje by była we wszystkich ludowych bibljotekach. Należy ją dać do czytania szerokim masom, gdyż przez to, iż jest przystępnie napisana, przekona najbardziej ciemne umysły: że jedna jest prawda, a prawdę tę zdobywa tylko nauka.

Eust. Czekalski.

TEATR MAŁY: **Prawda**. Komedja w 4-ch aktach Clyde'a Fitche'a, przekład Z. M.

Powiedział niegdyś Oktawjusz Feuillet, że kłamstwo jest pierwszym instynktem każdej kobiety, zarówno najgorszej, jak najlepszej. Ale nie to wielkie, głębokie, żywiołowe kłamstwo, które stanowi dla kobiety - niewolnicy konieczną broń w walce z mężczyzną i życiem, miał na myśli autor Prawdy. Aspiracje jego są o wiele skromniejsze. Jego bohaterka, pani Warder, kłamie nie jako kobieta, ale jako człowiek. Kłamie z wychowania i przyzwyczajenia. Kłamie czasem dla interesu, a częściej jeszcze bez celu, kłamie dopóty, aż traci zaufanie męża i naraża się na rozmaite przykrości i posądzenia. Zresztą ta wyjątkowa i niezręczna kłamczyni (o ileż kobiety lepiej kłamać umieją, niż sobie wyobraża p. Clyde Fitche!) nie długo cierpi. Cały dramat trwa dwa dni wszystkiego.

Wystarczają one na to, aby p. Warder pochwycił znowu w objęcia swą żonę, przebaczył jej i uwierzył w jej poprawę. A stało się to dzięki... kłamstwu ojca bohaterki. To rozwiązanie jest może najlepszą częścią sztuki Fitche'a. Maluje ono w pełni całą płytkość uczuć naszego życia mieszczańskiego. Dawno już zauważył Aleksander Dumas, że dramat namiętności, musi być nieodzownie historycznym. Serca, bijące pod naszymi czarnymi tużurkami, nie rodzą wielkich burz uczuciowych, ale takie małe niepogody, jak w sztuce Fitche'a. Nawet nie potrzeba otwierać parasola.

To też komedja, wystawiona w Teatrze Małym, ani nie wzrusza, ani nie interesuje. Błahy temat zemścił się na literackiej i scenicznej stronie utworu. Jeden i ten sam motyw powtarza się wielokrotnie (kłamstwo p. Warder i moralna ślepota jej ojca), w zupełnie podobnych scenach i epizodach. Nuży to słuchacza a akcję obciąża. Artyści grali przytym w zbyt wolnym tempie, co przyczyniło się jeszcze bardziej do niepowodzenia sztuki.

J. L.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Zachowanie się Koła polskiego w parlamencie berlińskim wobec reformy finansowej wywołuje żywe komentarze w całej prasie polskiej. Nawet *Słowo Polskie* utyskuje że „Koło nie potrafiło utrzymać się na drodze wskazanej polityką germanizacyjną rządu i interesami własnego społeczeństwa. Znalazszy się w położeniu, które pozwoliło mu odegrać rolę języczka u szali w sprawie reformy finansowej, zsolidaryzowało się z centrum i konserwatystami, dopomogło im w trzecim czytaniu ustawy finansowej do przeprowadzenia przyjętych przez rząd projektów i zmieniło się w praktyce na stronnictwo rządowe". Że takie stanowisko Koła wywołało żywe protesty, jest rzeczą zupełnie naturalną, a tłumaczenie jakoby niektórzy jego członkowie zbyt ulegali wpływom osobistości rządowych, nie jest właściwie tłumaczeniem, bo w zasadzie Koło berlińskie uchybiło godności narodowej.

Gazeta Toruńska również występuje z ostrą krytyką Koła, zwracając bardzo słusznie uwagę na to, że solidaryzowanie się Koła z centrowcami, którzy przyklaskują zawsze każdemu projektowi antypolskiemu wraz z konserwatystami — jest nietylko niesympatyczne, ale wprost niebezpieczne, zwłaszcza ze względu na to, że lewica parlamentu niemieckiego oraz liberali, oburzeni postępkiem Polaków, połączą się w sprawach polityki antypolskiej z hakatystami i wytworzą stanowczo w parlamencie większość antypolską.

Kurjer Poznański, który, zdawało się, również krytycznie zapatrywał się na stanowisko Koła — obecnie w jednym z ostatnich numerów kategorycznie zapewnia, że „prasa, o ile nabędzie przekonania, iż zasadnicza linja polityki Koła — mimo błędów ostatnich tygodni, na przyszłość nie ulegnie zmianie, udzielać znów będzie Kołu szczerego i energicznego poparcia", dodając, że „polska prasa demokratyczna nie uprawiała i uprawiać nie myśli krytyki dla krytyki".

A w dalszym ciągu tak dalece modyfikuje zajęte poprzednio krytyczne stanowisko, iż nawet tłumaczy, że „głosowanie Koła, względnie jego większości, na całą ustawę finansową wbrew woli społeczeństwa — było spowodowane zamieszaniem, powstałym z winy kierowników akcji Koła w sprawie reformy finansów".

Na razie trudno się zorjentować skąd ta nagła zmiana frontu — dopiero dalszy ciąg wzmiankowanego artykułu wyjaśnia nam rzecz całą: *Kurjer Poznański*, załatwiwszy się z kwestją powyższą, energicznie wypowiada walkę „agitacji socjalistycznej, usiłującej z polityki Koła mniej czy więcej niesumiennymi środkami wybić kapitał dla ruchu socjalistycznego".

Na szczęście, zdaniem *Kurjera*, na Śląsku i na wychodźtwie pisma ludowe toczą zawziętą walkę z „bałamuctwami" socjalistycznymi, które jednak niestety na Górnym Śląsku i w Westfalji przedstawiają pewne szanse wśród ludu roboczego.

Kwestja podatków jest kwestją kieszeni, a kwestja podatków pośrednich w dodatku kwestją strawy codziennej: to są sprawy przez każdego śmiertelnika żywo odczuwane, tym bardziej przez niezamożne szerokie warstwy, i to są sprawy, stanowiące zawsze najlepszy środek agitacyjny wśród mas ludowych, szczególnie robotniczych. Jeżeli do tego dodamy znany fakt, że socjaliści, gdy im chodzi o efekt agitacyjny, z zasadami prawdomówności i wogóle uczciwości nie zwykli obchodzić się „zbyt skrupulatnie", otrzymamy obraz obecnych zabiegów socjalistycznych wśród polskiego ludu roboczego.

Agitacja socjalistyczna usiłuje oczywiście przedewszystkim wmówić w robotnika polskiego, że Kołu, a nie komu innemu, zawdzięcza nowe podatki, które podrożą artykuły codziennego użytku. Tymczasem rzecz wiadoma, że

nawet w tych przypadkach, w których Koło pozytywnie poparło dane projekty, literalnie *w żadnym przypadku* odnośne podatki uchwalone nie uzyskały większości głosów dzięki głosom polskim.

Ale o to działacze socjalistyczni nie pytają. Rzucają w masy hasło płomienne a żrące, by porywało i buntowało. Wymyślają, co się zmieści, na „jezuityzm narodowców", ale równocześnie w najbezwzględniejszej formie stosują zasadę: cel uświęca środki

Szkoda, że *Kurjer* nie dodał w dalszym ciągu, że narodowcy brzydzą się wszelką agitacją, broniąc zawsze i wszędzie swych przekonań podług najsurowszej etyki — że czystość kryształowa jest ich tylko wyłącznym przywilejem!

* Trzeba przyznać, że pan Roman Dmowski osiągnął już poniekąd cel swego pracowitego żywota: w prędkim stosunkowo czasie stał się, jeśli już nie „naszym sławnym", bo na ten przymiotnik nie wszyscy w kraju i za jego granicami się godzą — to w każdym razie jest już „naszym znanym". Wszyscy radzi nie radzi muszą się zajmować jego osobą, której niestrudzona działalność i cyrkowa elastyczność stale dostarcza pismom wszelkich obozów i odcieni tematu do komentarzy. *Wiek Nowy* z dnia 23 lipca pomieścił ciekawą korespondencję z Warszawy, jest w niej oczywiście mowa o... „naszym" panu Dmowskim:

Zdawało się, że po tylu skokach, figlach, przemianach i przełomach p. Dmowski ustatkuje się wreszcie i zacznie pędzić spokojny i solidny żywot naczelnego redaktora *Głosu Warszawskiego*. Po burzach, klęskach i kompromitacjach, po nagłym runięciu z wyżyn świetnej karjery politycznej — należał mu się wypoczynek i zapomnienie.

Ale p. Dmowski zapomnieć o sobie nie daje narodowi. Wszędzie go pełno — w dziennikach, po czasopismach, na zebraniach, zgromadzeniach, komitetach i t. p. Znak to, że rozpoczęła się w życiu byłego posła warszawskiego epoka pracy „organicznej". Ale kto już ma chorobliwą skłonność do skoków, ten skakać nie przestanie, choćby i na miejscu, choćby go uwiązano na sznurku. Skoczył sobie więc i p. Dmowski, tym razem jednak z takim zacięciem i z takim rozmachem, że zadziwił ludzi nawet najbardziej przyzwyczajonych do akrobatycznych sztuczek narodowo-demokratycznych.

Skok ten miał miejsce wprawdzie nie na wystawie częstochowskiej, ale z okazji tejże wystawy i projektowanej wycieczki czeskiej. Na posiedzeniu komitetu gospodarzy wygłosił p. Dmowski mowę, w której — wbrew swemu zwyczajowi — postawił bardzo wiele „zastrzeżeń", co do sposobu przyjęcia gości czeskich. Między innymi zauważył, że wszelkie wynurzenia z naszej strony, jak i ze strony gości nie powinny przekraczać zakresu tego, co może łączyć społeczeństwo polskie w Królestwie ze społeczeństwem czeskim, a więc stosunków ekonomicznych i kulturalnych, a *nie politycznych*. Ominięte być musi stanowczo omawianie stosunków polsko-rosyjskich i polsko-czeskich w Austrji — czyli inaczej, zjazd nie ma mieć charakteru polityczno-neosłowiańskiego.

Takie wynurzenia z ust człowieka, który niedawno zgłaszał akces „bez zastrzeżeń" do ruchu neosłowiańskiego — są istotnie zadziwiające. Ale po bliższym przyjrzeniu się całej sprawie, powstają grube wątpliwości co do szczerości tego ostatniego skoku p. Dmowskiego. Jest to bowiem zapewne tylko manerw taktyczny. Chodzi mianowicie o uratowanie pozorów mocno nadwątlonej spójności, łączącej dawniej organizacje endeckie wszystkich trzech zaborów — o ominięcie komicznej sytuacji, jakaby się wytworzyła, gdyby endecy z zaboru rosyjskiego zawiązali sojusze polityczne z Czechami w chwili, gdy ich towarzysze partyjni z Austrji prowadzą z nimi otwartą walkę. Sytuacja rzeczywiście dla neoslawistów średnio przyjemna, a dla taktyki endencji bardzo charakterystyczna.

Wobec tego musiał p. Dmowski rad nie rad zdusić w sobie sentymenty neosłowiańskie dla miłości swych towarzyszów zakordonowych — i stanąć na stanowisku bardzo zbliżonym do opinji kół postępowych, a mianowicie, że Czechów należy przyjmować nie jako „neoslawistów", ale jako sympatycznych gości i okazać im oczywiście jaknajserdeczniejszą gościnność.

Mimo tego jednak ostatnie wystąpienie p. Dmowskiego nie przestaje być skokiem niekonsekwentnym i sprzecznym z dotychczasową jego działalnością. Możemy się spodziewać, że niebawem w którymś z dzienników lub czasopism ukaże się „teoretyczne" uzasadnienie tego cofnięcia się menera endecji z „bezzastrzeżeniowego" neoslawizmu.

Nie wątpimy że „teoretyczne uzasadnienie" pomieszczone zostanie, czy ono jednak będzie prawdziwe — śmiemy wątpić.

W naszych oczach jest to zagadka, dająca się łatwo rozwiązać: w bezinteresowność i szczerość wynurzeń pism endeckich nie wierzymy wcale; nie możemy również uwierzyć, że pan Dmowski, który tak niedawno wraz z panem Kramarzem publicznie i prywatnie rozczulał się nad przyszłością neoslawizmu, — kierowany szczerym przekonaniem o bankructwie tej idei — cofa się zasadniczo z dawnego w tej sprawie stanowiska. Przyczyn tej zmiany frontu dopatrywać się musimy w innych „daleko idących" źródłach: wiadomą jest niechęć endecji galicyjskiej do neoslawizmu; p. Dmowski w sam czas spostrzegł się, że mądry polityk musi szersze zataczać kręgi, — z chwilą gdy Głąbiński zamarzył o tece ministerjalnej, a Koło Polskie w Wiedniu stanęło bliżej Niemców niż Słowian — wypadło i panu Dmowskiemu wycofać się z neoslawizmu.

Jego „górne" marzenia wybiegają prawdopodobnie poza granice królowania naszej tylko endecji — a przytym p. Dmowski ma wybitną słabość do jednania sobie sprzymierzeńców w parlamentach... W danym razie nie odstrasza go nawet to, że w obecnej chwili wygłasza o neoslawizmie zdania dziwnie podobne do tych, które wyznają postępowcy, nie mający od początku złudzeń co do neoslawizmu. Droga, którą sobie obrał p. Dmowski do osiągnięcia „najwyższej" karjery politycznej, jest stanowczo błotnista i ślizka — całe szczęście, że były prezes Koła tak wprawnie skakać potrafi.

KRONIKA.

— *Nowa Reforma*, omawiając wyrok sądu obywatelskiego w sprawie sprzedaży Kruszewa stwierdza, że akt ten nie zadowolił nikogo, bo przedewszystkim nie dał wyrazu opinji co do sprzedawczyków wogóle i stanowiska wobec nich ogółu, nie był także i po myśli Potulickich i ich rodziny, gdyż oskarżonego nie oczyścił. Wygląda zatym cały akt na kompromis faktów, nie przekonań, gdyż w tej mierze zgodni są wszyscy, że hr. Potulickiego za postępowanie jego potępić należy. Pozostało jednakże vaccum, którego sąd nie wypełnił. A sprzedawczyków pełno w rozmaitych urzędach, w stosunkach społecznych i towarzyskich — a ciągle jakoś stanowczego sądu o nich nie wydajemy...

— *Birż. Wied.* donoszą, że na posiedzeniu Rady ministrów z dn. 20 b. m. zatwierdzono w ostatniej redakcji przepisy o komentowaniu art. 96 praw zasadniczych (o porządku zatwierdzania kredytów na wyższe instytucje ministerjów wojny i marynarki). Według nowego komentarza, rozważanie i zatwierdzanie kredytów oraz preliminarzy ministerjum wojny nie będzie należało do Dumy. „Prawidłowe komentowanie" nie będzie podawane do wiadomości publicznej, lecz w porządku cyrkularzowym przesłane zostanie instytucjom i wydziałom, których przepisy te dotyczą.

— Na radzie członków Związku nar. ros. postanowiono, że, jeśli rząd francuski z powodu odkryć Burcewa nie pozwoli na istnienie w Paryżu tajnej policji rosyjskiej, Związek założy tam swój oddział celem szpiegowania rosyjskich poddanych.

— W angielskiej Izbie gmin podczas rozważania budżetu ministerjum spraw zagranicznych wniesiono na porządek dzienny sprawę zamierzonej wizyty Jego Ces. Mości w Anglji. Hendersen występujący w imieniu partji robotniczej, stwierdziwszy na wstępie urzędowy charakter wizyty, protestuje przeciwko nadaniu przyjęciu

charakteru narodowego, dowodząc, że Cesarz i rząd rosyjski nie mogą być zwolnieni od odpowiedzialności za opłakany stan więzień i liczne wyroki śmierci w państwie. Zdaniem mówcy — dotychczasowe uprzejmości urzędowe świadczone przez Anglję pozostały bez wpływu na politykę rosyjską i rząd ang. dziś winien odmówić oficjalnej gościnności dopóki Rosja nie zmieni swej polityki wewnętrznej. Dzienniki: *Times*, *Daily Telegraph*, *Standart* potępiają agitację partji robotniczej jako błąd polityczny i niedostateczne zrozumienie przez ową partję stanu rzeczy.

— W Paryżu projektowany jest zjazd rosyjskich i angielskich posłów celem urządzenia manifestacji dla trójporozumienia francusko-rosyjsko-angielskiego.

— Prasa galicyjska zwraca uwagę publiczną na agitację wszechniemiecką, prowadzoną za pieniądze pruskie w Galicji i na Śląsku, między innymi na wydawany w Przemyślu organ hakatystyczny *Deutsches Volksblatt für Galizien*, którego stanowisko insynuacyjno-prowokacyjne obraża nasze uczucia i godność narodową. Wychodząc z założenia: że Galicja nie jest polską ziemią i że Niemcy powinni być tam panami, pismo to nie szczędzi obelg pod adresem Polaków, a z niego to czerpią swoje informacje i... inspiracje liczne pisma niemieckie w Austrji i w Niemczech — a nawet wiedeńskie władze austryjackie. Półurzędowa *Köln. Ztg.* napadła na Galicję wykazując „zgubne" jej oddziaływanie na Górny Śląsk; zwraca uwagę społeczeństwa na ten „najbardziej zagrożony teren kresów wschodnich" i niedwuznacznie stawia żądanie, by rząd austryjacki jako „najwierniejszy sprzymierzeniec" — przez ukrócenie autonomji „nie dopuścił do uprawiania niebezpiecznej propagandy w Galicji, tego ogniska rzucającego iskry poza granicę".

— Nowo-powstały w Niemczech Związek chłopski, którego programowym postulatem jest „odsłowiańszczenie kresów", szybko wzrasta; związkowcy przedstawiają już poważną liczbę 20,000. W rozmaitych częściach Niemiec organizowane są zjazdy ogólne chłopskie o charakterze agitacyjnym. 19 b. m. odbył się zjazd w Grudziądzu przy udziale około 1000 uczestników ze wszystkich stron Zachodnich Prus, Księstwa i Prus Wschodnich Hucznymi oklaskami pawitano mowę posła Siega, który mówiąc o ogólnym położeniu politycznym, o reformie finansów, napadał na sposób uchwalania podatków przez większość parlamentarną konserwatywno-centrowo-polską, zaznaczając że „paktowanie" z Polakami wywołało w kraju jak najgorsze wrażenie. Mówca ubolewał, że obecnemu kanclerzowi brak „żelaznej pięści", którą koniecznie w obecnych warunkach kanclerz posiadać powinien. Dosłownie: „kanclerz, którzyby śmiał poświęcić politykę kresową dla względów centrum i konserwatystów — zmieciony zostanie jak plewy przez wiatr".

— W Wiedniu odbyła się konferencja stronnictw opozycyjnych Unji Słowiańskiej; wydano w następstwie komunikat: że wszystkie stronnictwa biorące udział w obradach stwierdziły, iż energiczne wystąpienie przeciw rządowi znalazło uznanie u wyborców czeskich i słowieńskich, oraz że Unja nie da się niczym skłonić do nawrócenia z drogi. Co do losów jesiennej sesji parlamentarnej, Sustersicz wyraził życzenie, aby rząd wyciągnął konsekwencję z obstrukcji i ażeby stanął ze zrekonstruowanym gabinetem przed parlamentem.

— Po głośnym wiecu w Pradze stronnictw nie należących do opozycji Unji Sł. odbył się w wielu miastach czeskich szereg wieców socjalistycznych, protestujących przeciw obstrukcji w parlamencie.

— Poselstwa rosyjskie i angielskie urzędowo zawiadomiły perskie ministerjum spraw zagran., że uznają nowego szacha. Wyjazd zdetronizowanego szacha ma nastąpić w sierpniu do Rosji; jako miejsce zamieszkania wskazują Teodozję na Krymie. W petersburskich kołach dyplomatycznych toczy się żywa wymiana zdań co do odwołania wojsk rosyjskich z Persji. Zdania różnią się co do oddziału gien. Snarskiego, konsystującego w Tabrysie, gdzie, rzekomo, obecność wojsk jest konieczna ze względu na wzrastające jakoby pod wpływem Niemiec intrygi tureckie w Persji półn. Obecnie toczą się układy między Londynem a Petersburgiem i jeśli w wyniku tych rokowań uda się skłonić Portę do odwołania wojsk z Urmji, oddział gien. Snarskiego cofnie się do Rosji. Teherański komitet nacjonalistyczny rozesłał do wszystkich miast perskich proklamacje wzywające ludność do uspokojenia się, aby wojska — stwierdziwszy zupełny spokój w państwie, mogły się cofnąć poza granice.

— Wojska mocarstw opiekuńczych, konsystujące na Krecie opuściły wyspę d. 26 b. m. W Kandji wywieszono sztandar Grecji; ludność gotowa jest stawić energiczny opór ew. aneksji Krety przez Turcję. Dzienniki ateńskie donoszą, że Kreteńczycy postanowili wybrać deputowanych do greckiej izby poselskiej na podstawie przepisów wyborczych, obowiązujących w państwie greckim. Nota mocarstw, nie przyznająca kategorycznie praw zwierzchniczych Turcji, wywołała u Porty odpowiedź domagającą się w tonie stanowczym definitywnego załatwienia kwestji kreteńskiej i to na podstawie takiej autonomji, jaką posiada wyspa Samos (której gubernatora mianuje wyłącznie sułtan). Porta żąda w swej nocie rozesłanej do mocarstw, aby obok okrętów wojennych Francji, Anglji i Rosji stacjonował na wybrzeżach wyspy okręt wojenny turecki.

— W Grecji rozwija się groźny nastrój wewnętrzny, który zdaje się na razie paraliżować stanowisko w sprawie kreteńskiej. Gabinet Teotokisa podał się do dymisji pod zarzutem opinji publicznej, że tchórzostwem swym zaprzepaszcza sprawę Krety. Główną przyczyną dymisji miało być odkrycie wielkiego spisku wojskowego, który pod nazwą „ruchu młodo-greckiego" zwraca się nietylko przeciwko rządowi, ale i przeciwko dynastji, żądając usunięcia z armji wszystkich książąt z rodziny królewskiej, zwłaszcza następcy tronu ze stanowiska naczelnego wodza, oraz powierzenia instruktorom zagranicznym reorganizacji armji. Przywódcy ruchu grożą, że jeśli rząd nie uwzględni tych postulatów w imię odrodzenia ojczyzny, to zmuszą go do tego siłą. W kilku miejscowościach Grecji powstały rozruchy stojące w ścisłym związku z przesileniem gabinetowym i spiskiem wojskowym.

— W Serbji w całym kraju szerzy się agitacja przeciwko dynastji Karadżordżewiczów. W armji panuje od dawnego czasu groźne rozprzężenie z powodu wrogiego stanowiska partji Ks. Jerzego do „królobójców". Ks. Jerzy jeszcze jako następca tronu usiłował złamać despotyzm owej grupy oficerskiej, która powoławszy kr. Piotra na tron okrwawiony, pragnęła go obezwładnić moralnie i sama sprawować rządy, na zasadzie jakichś „honorowych" zobowiązań złożonych przez króla na piśmie. Książę po swojej abdykacji rozwinął był silną agitację, aby 68 „spiskowców" z armji usunąć; agitacja ta odbiła się szerokim echem w kraju, zyskując licznych zwolenników i zmierza do zmuszenia króla do abdykacji na rzecz ks. Jerzego.

— Student indyjski Dhingra skazany został na śmierć za zabójstwo, dokonane w Londynie na osobie pułkownika angielskiego sira Wiliama Hutt-Curzona, b. oficera armji indyjskiej a ostatnio doradcy politycznego przy sekretarzu stanu do spraw indyjskich. W związku z tym stoi wykrycie spisku młodych studentów hinduskich, którzy pod nazwą „Synowie Sziwy" zorganizowali sprzysiężenie, którego celem ma być zamordowanie wszystkich wpływowych urzędników rządu brytyjsko-indyjskiego. Opinja prasy angielskiej przypisuje ten stan umysłów w Indjach działalności wydawanego w Paryżu przez Krishnavarmę — zapalonego rewolucjonistę hinduskiego — tygodnika *The Indian Sociologist*, propagującego jawnie mord polityczny jako środek walki z panowaniem angielskim w Indjach. Dodać należy, że niedawno władze angielskie zażądały od francuskich wydalenia niebezpiecznego agitatora z granic Francji. Młody Dhingra przyjął wyrok oświadczeniem: „jestem szczęśliwy, iż miałem zaszczyt umrzeć dla ojczyzny".

— Francuska izba deputowanych po wysłuchaniu deklaracji rządowej gabinetu Brianda i przeprowadzeniu nad nią dyskusji uchwaliła d. 27 b. m. 306 głosami przeciwko 42 — votum zaufania dla nowego rządu.

— Dnia 27 b. m. zmarł w Truskawcu w Galicji znany powieściopisarz Kajetan Abgarowicz, piszący pod pseudonimem: Abgar Sołtan. Zmarły był ziemianinem mieszkającym na Podolu galicyjskim w Dubieńku; należał w swoim czasie do założycieli i redaktorów pisma *Przedświt* we Lwowie (1900 r). Jego powieści: *Klub nietoperzy*, *Z wiejskiego dworu*, *Polubowna ugoda*, *Ilko Szwabiuk*, *Zawiedziona nadzieja*, *Nea* — są utworami wybitnego talentu tego nawskroś *szlacheckiego* pisarza, który z rozmachem i zamiłowaniem malował „szeroką" naturę bogatej i rozhulanej szlachty z Podola i Ukrainy. Działalność literacką zmarłego rozpatrzymy w jednym z następujących numerów.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.